№ 26. Warszawa, dnia 27 (15) Czerwca 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek kwartalny, czwarty zeszyt **Ekonomii politycznej**. Dzieła tego nie mogliśmy (według zapowiedzi pierwotnej) zawrzeć w czterech zeszytach, ukończymy je wszakże niewątpliwie w roku bieżącym.

Cztery tomy **Głównych prądów literatury XIX-go wieku** Brandesa zostały uzupełnione i rozesłane abonentom. Ponieważ wszakże tomu czwartego dla niektórych przedpłacicieli nam zbrakło, prosimy więc ich jeszcze o kilka tygodni cierpliwości dla nowego skompletowania. Tomy: I, II i III w osobnej sprzedaży kosztują po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2; całe dzieło, którego cenę zniżoną rs. 4 (z przesyłką pocztową rs. 4 k. 50) pozostawiamy jeszcze, po skończeniu abonamentu kosztować będzie rs. 6, z przesyłką rs. 6 k. 50. Nadmieniamy, że zniżona cena nasza jest **cztery razy mniejszą**, niż wydania niemieckiego.

USTAWA UNIWERSYTECKA.

Nową ustawę dla uniwersytetów rosyjskich, która zrodziła tyle najsprzeczniejszych wieści i którą pisma układały z domysłów w różnym „duchu,“ ogłosił wreszcie *Prawit. Wiestnik.* Chociaż ten akt nie odnosi się do uniwersytetu warszawskiego (i dorpackiego), zasługuje na poznanie. Podajemy główną osnowę przepisów, zwłaszcza o ile ona zmienia panujące dotąd systemy w Rosyi lub Europie.

Studenci wnoszą 10 rs. wpisu rocznie a nadto t. z. czesne — po rublu za każdą tygodniową godzinę lekcyi półrocznie (tj. np. za trzy wykłady jednego przedmiotu tygodniowo—rs. 3 na pół roku). Od tej daniny ma prawo uwolnić inspektor, jako kontroler sprawowania się młodzieży.

Student winien przedstawić się inspektorowi, uzyskać od niego kartę pobytu i bilet wejścia, oraz podać dokładny adres swego mieszkania (i zawiadamiać o każdej zmianie lokalu). Ujawnianie oznak zadowolenia lub niezadowolenia z prelekcyj i profesorów jest wzbronione. Studenci uważani są za zbiór jednostek, pozbawiony charakteru korporacyjnego: nie mogą też występować gromadnie, urządzać obrad, wydawać odezw itd., jak również należeć do wszelkich kółek i stowarzyszeń, chociażby niemających celu przestępnego. Nie wolno im także — litografować kursów. Wykroczenia sądzi inspektor, rektor, albo zarząd uniwersytetu, a winni ulegają następującym karom: 1) napomnieniu, 2) napomnieniu, połączonemu z zapisaniem do księgi karnej, 3) aresztowi od 24 godzin do 4 tygodni, 4) napomnieniu i aresztowi z oświadczeniem, że winny w razie ponownego wykroczenia będzie wydalonym z uniwersytetu, 5) wydaleniu na własne żądanie, 6) wydaleniu przez władzę bez prawa powrotu do tegoż uniwersytetu, ale z możnością wstąpienia do innych, 7) zupełnemu wypędzeniu.

Warunki „karceru“ określono szczegółowo. Odsiadujący kozę otrzymuje żywność prostą, lecz świeżą i dostatnią, bez trunków; karty są zabronione a światło tylko do godziny 11 wieczorem. Od inspektora zależy pozwolenie czytania książek, pisania, przyjmowania odwiedzin i wychodzenia na miasto w towarzystwie żołnierza lub pod „słowem honoru.“

Ze stypendyów i wsparć skarbowych korzystać będą tylko chrześcianie.

Wolni słuchacze mają być dopuszczani o tyle, o ile rozmiary audytoryów pozwolą. Starać się zaś o ten wstęp mogą: 1) urzędnicy z poręczoną przez zwierzchność prawomyślnością i 2) osoby, które ukończyły gimnazyum, posiadają świadectwo policyjne i zajmują jakieś określone stanowisko. (Żonaty studentem być nie może). Wolni słuchacze, obok innych dowodów, składają jeszcze swoje fotografie z własnoręcznymi podpisami.

Oto jest główna treść nowej ustawy. Odróżnia się ona od poprzedniej w kilku punktach. Naprzód podwyższa koszt nauki (co ją upodobnia do statutów zagranicznych, np. niemieckich). Czesne bowiem, w połączeniu z wpisowem, wynosić będzie sumę daleko większą od opłat dotychczasowych. Powtóre znosi (zwyczajowo) prawa studentów, a rozszerza prawa zwierzchności uniwersyteckiej oraz zaostrza kary za wykroczenia. Nakoniec ścieśnia wstęp dla wolnych słuchaczów.

WYSTAWA PRZEMYSŁOWO-ROLNICZA.

II.

Dział przemysłowy liczy około 500 wystawców, którzy wyroby swe pomieścili w 160 pawilonach własnych lub zbiorowych. Budynki pojedyncze, jak już zaznaczyliśmy, przedstawiają się pokaźnie, nieraz nawet oryginalnie i bogato; ale obok tych upiększeń na każdym prawie kroku dojrzeć można tradycyjny nieład i niechlujstwo. Wązkie uliczki pełne śmieci, wiórów lub kawałków cegły, trawniki pokazują zaledwie ślady roślinności, klomby zasadzono kwiatami, które już na drugi dzień uschły itd. W okazałych pawilonach, kosztujących po kilka tysięcy rubli, znajdujemy nieraz tylko kilka próbek wyrobów fabryki. Dopuszczenie znacznej liczby własnych pawilonów, rozmieszczonych bez żadnego planu, utrudnia zwiedza-

jącym zestawienie porównawcze działalności fabryk i zakładów współzawodniczących. Zresztą większość tych pawilonów i kiosków, w których mieści się nie więcej okazów, jak w witrynie sklepowej, nie była wcale potrzebną. Komitet wystawy w danym razie odstąpił od powszechnie przyjętego zwyczaju grupowania w jedną całość pokrewnych gałęzi przemysłu i poświęcił pożytek na rzecz reklamy. Obfitość i wspaniałość pawilonów, które tak cieszą sprawozdawców, nie mają innego celu i z wystawy przemysłu krajowego robią zwykły popis firm kupieckich.

Ta cecha reklamy uwydatnia się najlepiej w sprzeczności między wytwornem urządzeniem pawilonów i ich skromną zawartością; stosuje się to szczególniej do wyrobów tkackich, których okazy pomieściły by się wygodnie w szafie oszklonej. Scheibler przedstawił zaledwie kilka próbek. fabrykanci tomaszowscy po kilka sztuk kortów i sukna w nieszczególnym gatunku, Poznański sprowadził warsztat tkacki i puścił go w ruch wo własnym pawilonie dla uciechy gapiów i dziennikarzów, którzy chwalą niezmiernie ten „sposób poglądowy“ reklamy, bo o to tylko w danym razie wystawcy chodzi, gdyż warsztat nie różni się od powszechnie używanego typu i żadnych szczególnych zmian lub ulepszeń w fabrykacyi tkanin bawełnianych nie oznacza.

Niepodobieństwem jest wyliczyć wszystkich wystawców, zresztą, stosownie do wytkniętego celu, jest to dla nas zupełnie niepotrzebnem. Zaznaczymy więc tylko te rodzaje przemysłu, które, według naszego zdania, posiadają trwałe, tj. naturalne warunki istnienia. Do takich należą wszystkie te, które przerabiają materyały krajowe oraz te, które spodziewać się mogą pewnego zbytu na rynkach Cesarstwa. Niektóre gałęzie przemysłu naszego łączą w sobie szczęśliwie oba warunki.

Nadzieje współzawodnictwa przemysłu naszego z rosyjskim nie są bynajmniej tak świetne, jak to się wielu wydaje. Powodzenie czasowe nie powinno nas łudzić i dla uchronienia się od klęsk w przyszłości należy zbadać warunki naturalne przemysłu rosyjskiego. Hojna pomoc ze strony rządu i taniość robotnika w wielu wypadkach przechylą bezwątpienia szalę przy tożsamości innych danych, a nawet pewnej nieznacznej na korzyść naszą przewagi. Jedynie więc trwałe widoki powodzenia mogą mieć te wyroby, dla których materyał surowy znajduje się u nas pod ręką, albo może być sprowadzony tańszym kosztem. W tym ostatnim wypadku potrzeba jeszcze, żeby różnica kosztów przesyłki materyałów surowych i przerobionych była dosyć znaczną. Dodać by tu również można wyroby, wymagające dobrego gustu i elegancyi, jakieś specyalne „articles de Varsovie,“ które również mogłyby liczyć na zbyt pewny.

Przedewszystkiem jednak nie należy zapominać, że wszelkie granice a zwłaszcza celne łatwo ulegają zmianie, że wykreślenie ich lub utrwalenie nie leży w zakresie ani możliwości naszej, ani naszych pragnień. Można zresztą i należy przewidywać taki stan rzeczy, kiedy interesy przemysłowców staną w otwartej kolizyi z dążeniami ogółu. Z tej więc racyi życzyć najgoręcej należy, żeby przemysł nasz czerpał materyały jedynie z najbliższego otoczenia, żeby odpowiadał przeważnie zapotrzebowaniom odbiorców miejscowych a jeżeli zmuszony jest szukać obcych rynków—to niech szuka takich tylko, na których zawsze prawie posiadać będzie przyrodzone warunki powodzenia.

Niektóre gałęzie rozrosły się już tak bujnie, że bez wywozu na obce rynki obejść się nie mogą, ale ogólnie biorąc w wytwórczości krajowej spotykamy liczne i ważne braki. Niektóre z nich zostały zapełnione w ostatnich latach, pozostało wszakże dosyć jeszcze; i dla kapitałów swobodnych, i dla przedsiębierczości stoi otworem szerokie pole.

Przemysł górniczy zgromadził 14 uczestników, z których pierwsze miejsce należy się kopalniom węgla i fabrykom żelaza. W dziale tym wystawcy najlepiej zrozumieli swoje zadanie, oprócz próbek nadesłali wszyscy prawie plany i modele swoich zakładów. Bogactwa kopalne kraju nie są jeszcze wyzyskane zupełnie, nowych jednak usiłowań w tym kierunku nie znajdujemy tu wcale.

Machiny i przyrządy fabryczne, rolnicze oraz aparaty przemysłowe posiadają 47 wystawców. Jak wiadomo, istnieją u nas w tym rodzaju zakłady wielkie, dawne; wyroby ich *na wystawie* współzawodniczyć mogą z zagranicznymi, które również stanęły do popisu, w rzeczywistości zaś często konkurencyi nie wytrzymują i niedawno jeszcze przemysłowcy tej grupy wystarali się o cło wwozowe, wbrew interesom rolnictwa. Znaczna część fabryk powstała dopiero przed paru laty i równomiernie z ogólnym rozwojem przemysłu wzmaga się produkcya w tej gałęzi. Postęp jest tu niezaprzeczony, zakłady specyalizują się, występują nawet zupełnie nowe odmiany. Na uwagę zasługuje: maszyna do wybijania kart deseniowych Milewskiego z Łodzi ulepszona przez niego, z posuwaczem własnego pomysłu. i lokomobile wyrabiane przez p. Rudnickiego i Kuczyńskiego. Ten dział maszyn nie był u nas uwzględniany i do dziś jeszcze setki lokomobil sprowadzamy z zagranicy. Zakłady mechaniczne Borman, Szwede i Temler, nie ubiegając się o wszechstronne zaprezentowanie fabryki, dały kompletny zbiór 12 maszyn i aparatów potrzebnych w gorzelnictwie. Specyalnie narzędzia rolnicze wystawiło 9 osób (głównie firmy prowincyonalne), znajdujemy tu nową żniwiarkę „Przodownicę“ pomysłu p. F. Grubińskiego.

Dział powyższy przedstawia się najlepiej. Materyał surowy znajduje się w kraju (chociaż wiele fabryk sprowadza go z zagranicy), w miarę zaś rozwoju przemysłu i rolnictwa krajowego produkcya może się rozszerzać naturalnie.

Pomijamy powozy i bryczki (10 wystawców), bo z żadnego względu na uwagę szczególną grupa ta nie zasługuje, są to po większej części wyroby zbytkowe, mające wszakże odbyt zapewniony. Wiele firm znanych nie stanęło wcale do popisu. Powozy warszawskie mają już ustalony rozgłos.

Pod nazwą wyroby rękodzielnicze i rzemieślnicze katalog obejmuje najrozmaitsze przedmioty. Należą tu np. wyroby rzemieślników-jubilerów i takich wielkich fabryk, jak np. Norblin lub Fraget. Prasa nasza, która rozwinęła się nie mniej jak przemysł, w sprawozdaniach swoich o tym dziale kieruje się względami przyjaźni lub korzyści. Zakomunikowano nam już parę faktów reporterskiego wyzysku. Wiadomości te pochodzą od osób zupełnie wiarogodnych i bynajmniej w danym wypadku niezainteresowanych, zaznaczamy je przy okoliczności.

Ślusarze warszawscy posiadają opinię ustaloną, której wystawa nie obali, ale też jej blasku nie doda. Piękny jest bardzo pawilon z kutego żelaza p. Gostyńskiego. Robota graniczy tu z artyzmem, wyroby z kutego żelaza nie ustępują u nas zagranicznym.

Nie wiem, na jakiej zasadzie t. z. fabryki broni zaliczają się do przemysłu krajowego. Wszystkie bowiem części składowe

---

2)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO

(Wł. Okońskiego).

SCENA 3.

Ciż, Anaksagoras, Fidyasz, Niewolnik.

Fidyasz (*klaszcząc w dłonie—do niewolnika*).

Zdrów jesteś?

Niewolnik.

Cały.

Fidyasz.

Pędź jak strzała i zanieś to pismo Peryklesowi, a gdyby cię spartanie ujęli, połknij je.

Niewolnik.

Służę (*wychodzi*).

Anaksagoras.

Witam cię, Sofoklesie.

Sofokles.

Niepomyślną wiadomość czytam w twojej twarzy.

Anaksagoras.

Tesalczycy zdradzili i przeszli do spartan...

Sofokles.

Ha, gady!

Anaksagoras.

Zacny nasz Efialtes zginął...

Sofokles.

Zginął! Tego grotu nic mi z serca nie wyjmie.

Fidyasz.

A co gorsza, padł nie na polu bitwy, ale pod morderczą ręką jakiegoś nieodkrytego zbrodniarza. Znaleziono go w namiocie rano z przerąbaną twarzą, a zbyt wielu jest w obozie naszym arystokratów, ażeby można było wyśledzić, który nikczemnie się pomścił za wszystkich.

Sofokles.

Bodajby w całej naturze, we śnie i na jawie, nic innego nie widział, tylko skrwawiony cień Efialtesa, i nic nie słyszał, tylko jego ostatni oddech!

Anaksagoras.

Na czele demokracyi ateńskiej pozostał już sam Perykles.

Sofokles.

Jeżeli nie poległ.

Fidyasz.

Bitwa jeszcze nierozstrzygnięta — nastąpiło zawieszenie broni.

Anaksagoras.

Uprzedzając wszakże zły wypadek starcia, radzi Perykles w osobnym liście archontom obwarować miasto i powołać wszystkich zdolnych do broni.

Sofokles.

Będziemy musieli z zewnątrz odpierać napaść, a wewnątrz dławić zdradę; bo nasi arystokraci jak szczury wymykają się z miasta do spartan i wróciwszy, wyszczerzają na nas zęby.

Protagoras.

Czyli, że cała ta awantura była zupełnie niepotrzebną.

Fidyasz.

Jaka?

Protagoras.

No, ta — pod Tanagrą.

strzelb sprowadzane są z zagranicy i chyba tylko łoża są wyrobem miejscowym. Gdyby chociaż przynajmniej wystawcy dali broń nowego, przez siebie wynalezionego systemu, gdyby w czemkolwiek uwidocznił się pomysł własny, (jak to np. w zegarmistrzostwie, które również sprowadza gotowe części wyrobów).

Pomiędzy stolarzami nie spotykamy także wielu firm znanych a wystawione meble nie wytrzymują porównania z temi, które widzieć można w oknach większych magazynów. Nie należy więc z tego, co jest, sądzić o stanie stolarstwa u nas.

Fabryka mebli giętych wystąpiła z osobnym pawilonem; pomyślny jej rozwój służyć może za zachętę do rozszerzenia produkcyi wyrobów z drzewa, których dotychczas jeszcze wiele sprowadzamy z zagranicy. Bednarstwo, tokarstwo i kołodziejstwo wyglądają bardzo ubogo.

Czapki, kapelusze, kwiaty sztuczne, ubrania i bielizna, hafty i koronki itd. mają 27 wystawców. Pomiędzy okazami znajdują się tu zwyczajne robótki kobiece obok wyrobów dużych fabryk. Cała grupa przedstawia się skromnie. Ubranie męzkie jest u nas znacznie droższe i gorsze, niż np. wiedeńskie, bielizna również ustępuje zagranicznej.

Pomiędzy wyrobami rękodzielniczymi znajdują się i grzebienie z pierwszej fabryki krajowej, która jest niedawnym i pożądanym nabytkiem przemysłu naszego. Roboty introligatorskie mają bardzo dobry pozór, cóż z tego kiedy wiadomo, że chcąc mieć pięknie i tanio oprawne książki. trzeba je posyłać do — Lipska.

Przemysł tkacki, przeważnie bawełniany zbywamy pobieżną wzmianką, posiada on wyrobione uznanie... i bardzo mało naturalnych warunków rozwoju. Zaznaczyć trzeba w tym dziale fabrykę wstążek, niedawno założoną w Warszawie. Z natury swej krajowym jest a przynajmniej być może przemysł płócienny, którego jedyną przedstawicielką jest fabryka żyrardowska. Po świeżym tryumfie nad rywalką w Błesznie mniej dba zapewne o złoty medal, jaki jej udzielono pomiędzy innemi zalotami za „uwzględnianie sił krajowych" i „za dbałość o los robotników!" Widocznie sz. sędziowie są bardzo ironiczni albo też mają złe informacye i krótką pamięć. Dla słuszności należałoby podobne świadectwo wydać i zakładom w Zawierciu!

Pod nazwą przemysłu fabryczno-chemicznego (!) figurują najrozmaitsze działy: cukrownie, gorzelnie, browary, garbarnie, papiernie, wyroby ze szkła i porcelany, mydła, świece, kosmetyki i nawozy sztuczne. Najobficiej przedstawia się piwowarstwo, niektórzy wystawcy pomieścili nawet pochlebne analizy swoich wyrobów, dokonane przez uczonych chemików, każdemu wiadomo jednak, że dobrego piwa w Warszawie niema. Pomiędzy garbarzami brak kilku dobrze znanych — np. Szlenkiera, w grupie szkła — niema Hordliczki. Fabryka majolików w Nieborowie jest nowym i oryginalnym zupełnie rodzajem przemysłu, to samo przyznać trzeba Otwockim przetworom torfu.

Młynarstwo znalazło się w dziale spożywczym obok cykoryi, serów, musztardy i cygar, dla oceny których wybrano, przez figiel zapewne, niepalących sędziów. Bardzo przyzwoitą jest tu wystawa p. Kropiwnickiego, właściciela młyna i piekarni. Przemysł tytoniowy produkuje u nas wyroby liche, niedorównywające np. wyrobom fabryk petersburskich, które przecież sprowadzają tytoń z miejscowości bardziej jeszcze odległych. Na oko cygara wyglądają dobrze, więc też niepalący sędziowie przyznali im nagrody.

W dziale mydlarstwa kilku tylko wystawców, z nich najpoważniejszy p. Hoch, którego świece wszakże nie mogą iść w porównanie z rosyjskiemi.

W grupie materyałów budowlanych odróżniamy kilka fabryk kafli i pieców, dwie z nich niedawno powstały na prowincyi i produkują wyroby bardzo dobre. Tutaj znajduje się nowy materyał budowlany trypolit, posiadający nie małe zalety; od bardzo niedawna zaczęto fabrykować go w Kielcach.

W tych ostatnich działach spotykamy najwięcej braków, wielu specyalnych gałęzi nie mamy wcale, a wielu przemysłowców nie przyjęło udziału w wystawie.

Pozostaje jeszcze grupa „pomocy naukowej." Biedna nasza nauka, która w warunkach codziennych pełni funkcyę zakrystyana lub stróża porządku publicznego, tutaj znalazła się w sąsiedztwie fortepianów p. Kerntopfa, którego reklamuje zawzięcie prasa i artyści, urządzający bezpłatne koncerty; fotografij, bonbonierek, wachlarzów itd. Przedmiotów służących do pomocy w nauce niema prawie wcale. W związku z wiedzą jest tylko termomikrofon Ochorowicza, mapy wystawione w pawilonie *Inżenieryi* i *Budownictwa*, rysunki Muzeum przemysłu i rolnictwa i zakład modeli dla szkół. Pp. Prószyński, Grajnert i Niemira wystawili tu również swe wydawnictwa ludowe.

Jakkolwiek pobieżny ten przegląd działu przemysłowego nie wypadł dlań pochlebnie, wydawać się jednak może, że w porównaniu z rolnictwem znajdujemy tu więcej przedsiębiorczości i inicyatywy. W rzeczywistości sprawa stoi trochę inaczej. Samodzielnych pomysłów zużytkowania materyałów krajowych nie widzimy prawie wcale.

Biorąc wszakże na uwagę braki nasze, przyznać trzeba, że w danym wypadku zaszczepienie w kraju pewnej gałęzi przemysłu, która używa materyałów surowych tutejszych, jest już wielką zasługą.

Przykładów takich naliczyć możemy nie wiele, ale to fakt, że, chociaż nieliczne. są jednak. Wiedzieliśmy bez wystawy, że przemysł nasz rozwija się, teraz więc dowiadujemy się tylko rzeczy dobrze znanych. Nowym nabytkiem jest przeświadczenie, że rozwój ten postępuje często w kierunku fałszywym, nieraz nie pożądanym, a nawet szkodliwym. Ogół zwiedzających oszołomiony pozorami i wrzaskiem dziennikarskich reklamistów w większości swej tych ciemnych stron niedostrzeże, dla przemysłowców są one obojętne, jeżeli nie dotykają bezpośrednio ich kieszeni. Ci zaś, którzy przeświadczenie to wynieśli, właściwie stwierdzili tylko poprzednie swe obawy.

P.

Nabytki rosyjskie
w Azyi środkowej.

„Orzeł dwugłowy malowniczo wyraża się Vambery, coraz dalej rzuca cień swych skrzydeł od Kaspii i Jaxartu po za Oksus ku podnożom Hindukuh."

Chcąc poznać, z jaką żelazną konsekwencyą Rosya posuwa się coraz dalej ku Indyom i wybrzeżom oceanu, potrzeba tylko porównać i bodajby zaznaczyć na mapie, co w tym kierunku świadomie i nieprzerwanie od paru wieków dokonanem zostało. Pierwsze zdobycze w Azyi datują się od 1580 r., w którym Jermak na czele watahy kozackiej przeszedł Ural i zdobył kraje nad Irtyszem i Obem. Na-

---

Fidyasz.

Dla ciebie. zwłaszcza, bo podobno spartanie przebiegłym i gadatliwym adwokatom wbijają w gęby rzopę.

Protagoras.

Twój obowiązek dłutem pięknie rzeźbić, ale nie językiem rozsądnie mówić — więc ci to głupstwo przebaczam.

Fidyasz.

Możesz nie przebaczać, abyś tylko milczał. bo klnę się na wszystko, co mnie teraz boli, że tej obelżywej paplaniny dłużej nie ścierpię!

Anaksagores.

Fidyaszu, nie zważaj...

Fidyasz.

Niech ten zuchwalec zadziera głowę, bo inaczej by nam w oczy nie spojrzał, ale niech nie sądzi, że tu ktoś pod nos mu się wspina. Doprawdy oburzającym jest plusk w błocie ateńskiem tych sofistycznych piskorzów, które umieją tylko z rąk się wyśliznąć! Tfu! Zostań tu Anaksagorasie, bo może przybiedz nowy goniec. Ja pójdę z Sofoklesem uwiadomić obywateli o niebezpieczeństwie i przygotować odpór, gdyby spartanie chcieli wleźć na nasz mur i spadającymi łbami zmierzyć jego wysokość. (*Wychodzi z Sofoklesem*).

SCENA 4.

Anaksagoras i Protagoras.

Protagoras.

To bryznął! Ale zamiast iść w pole pod Tanagrę, woli z za muru nakosić łbów spartańskich. Bohater!

Anaksagoras.

Nie krzywdź go, Perykles wyraźnie żądał, ażebyśmy zostali i w potrzebie udaremnili spisek arystokratów.

Protagoras.

Dziwna rzecz; można pisać wspaniałe tragedye, rzeźbić cudowne posągi, można być tak cennym i jednocześnie tak głupim, jak — perła. Rozprawiać z tymi ludźmi znaczy to samo, co kłócić się z wiatrem huczącym w kominie.

Anaksagoras.

Niepotrzebnie ich drażnisz...

Protagoras.

Rozumie się — w proch przed każdym, kto wlazł na patryotyczne szczudła!

Anaksagoras.

Nie pora na takie sprzeczki, kiedy nieprzyjaciel się zbliża.

Protagoras.

Naturalnie — kto sam idzie bić się lub innych wysyła, temu nie wolno zauważyć, że ma jedno ucho czerwieńsze od drugiego; ale on może bezkarnie nawet mędrcowi dla rozrywki ogolić połowę brody. Sofokles, Fidyasz — to panowie, przed którymi Protagoras, marny sofista, winien jak pies warować i kręcić ogonem. Czy podobna, mistrzu, ażebyś i ty tak sądził?

Anaksagoras.

W czasie wojny zawieszają się wszystkie prawa, nawet logiczne, a najwyższą władzę obejmuje instynkt samozachowawczy.

Protagoras.

I cóż uradziliście zrobić dla spełnienia rozkazów tej najwyższej władzy?

Anaksagoras.

Nie moja to rzecz, lecz archontów i ludzi z taktyką obrony wojennej obeznanych. Chciałbym usłużyć ojczyźnie, pomódz Peryklesowi i szczęśliwie pokierować wypadkami, a zdaje mi się, że będę tylko biernym ich świadkiem.

Protagoras.

Więc ostatecznie, mowiąc bez osłonek, potłukli nas spartanie. Zaiste, Perykles wy-

stępcy jego w ciągu lat kilkudziesięciu przebiegli niezmierzone przestrzenie i stanęli wreszcie nad cieśniną Beringa. Wskutek warunków wewnętrznych w tem gorączkowem dążeniu naprzód następuje pewna przerwa, ale już od czasów Piotra Wielkiego zaczyna się nowy ruch zdobywczy. Wkrótce upłynie lat dwieście jak Piotr I objął tron i dał znowu impuls polityce podbojów w Azyi. Z początku pragnął on posiąść tylko południowe i zachodnie morza, gdyż jedyny ówczesny port rosyjski—Archangielsk z powodu lodów przez większą część roku był niedostępnym. W tym celu prowadzi wojny ze Szwecyą i Turcyą, podbija Inflanty i Estlandyę, zakłada Petersburg, buduje Kronsztadt a na południu zdobywa Azow. Ale w końcu jego panowania po trzyletniej wojnie zabiera Rosya (w 1724 r.) persom dwie prowincye Gilan i Mazanderan; nieco wcześniej kończy się tragicznie pierwsza wyprawa do Chiwy. Azow został jednak straconym, a prowincye perskie trudne do utrzymania z powodu zbytniej odległości—oddane dobrowolnie w zamian za pewne korzyści handlowe, wszakże już w wojnie z turkami w 1735—39 r. zdobyli rosyanie Azow na nowo.

Ze strony wschodniej szła granica Rosyi wzdłuż Uralu aż do jego źródeł i dalej w prostej linii ku wschodowi do Irtysza. Obwód Akmoliński, leżący między temi dwoma rzekami, zajęty został za panowania Piotra W. i na mapach rosyjskich z 1725 r. granica dochodzi do jeziora Bałkasz. Na wschodzie nie było turków, ani szwedów do zwalczania i rozciągały się tam bezbrzeżne przestrzenie stepów, rzadko zaludnionych koczownikami, ale też nie było tego, czego głównie poszukiwała Rosya—słonecznych brzegów wolnego i otwartego morza, które znaleść można było tylko na południu i południo-wschodzie.

Po długiej wojnie z turkami traktat w Kuczuk-Kajnardży zapewnił jej wolną żeglugę na morzu Czarnem i Marmora, oraz przejście przez Dardanelle i oddał w posiadanie pas ziemi między Dnieprem i Bugiem: Wkrótce potem Krym zamieniony został na gubernię taurydzką, po zaciętym oporze ludności tatarskiej.

Druga wojna turecka (1787—92) zakończyła się przyłączeniem kraju między Bugiem i Dniestrem. W tym samym czasie bez walki zajęli rosyanie ziemie, leżące między Uralem i jeziorem Bałkasz; granica przechodziła już wtedy przez morze Aralskie. W trzeciej wojnie tureckiej (za panowania Aleksandra I-go) nabyła Rosya Bessarabię, równocześnie prawie prowadziła wojnę z persami i zabrała im obwód Baku oraz część Kaukazu aż do Araksu. Poprzednio już Gruzya poddała się dobrowolnie; z nabytków tych i podbojów utworzono prowincyę zakaukazką. Po drugiej wojnie perskiej (1825—1828 r.) otrzymała Rosya Erywań i opanowawszy wzgórza Armenii, rozciągnęła swój wpływ na chrześciańskie plemiona ormian w Turcyi i Persyi.

W czwartej wojnie z turkami (1828—1829), zdobyła ujście Dunaju i twierdze położone na lewym brzegu morza Czarnego. Wyprawa przeciw Chiwie podjęta w 1839 r. nie udała się z powodu zbyt srogiej zimy i nieudolności kierowników. Wojna krymska przyniosła tylko same straty—oddanie Turcyi od lat kilkudziesięciu posiadanych ujść Dunaju i świeżo zdobytego Karsu. Podboje z tej strony przerwane zostały na długi szereg lat, ale z tem większą energią podjęto rozszerzenie granic w Azyi.

W 1859 r. rosyanie ugruntowali swe panowanie w kraju amurskim, cztery razy większym od Anglii i niezmiernie ważnym z powodu stosunków z Chinami, Koreą i Japonią. Na Kaukazie uporczywie prowadzono walkę z plemionami niepodległemi, która zakończyła się w 1864 r. zupełnem ich ujarzmieniem. W czasie wojny krymskiej zajęte zostały ziemie rozciągające się na południe jeziora Bałkasz aż do gór Ała-Tau i z nabytku tego utworzono obwód Siemirieczeński.

Nauczeni doświadczeniem 1839 roku poczynili rosyanie odpowiednie przygotowania dla zdobycia Azyi środkowej. Opanowawszy płaskowzgórze Ust-Urt pomiędzy morzem Kaspijskiem i Aralem, torowali sobie z wielką przezornością drogę przez stepy, kopiąc nieprzerwany szereg studzien i budując forty. W 1848 r. wznieśli i obwarowali twierdzę Aralsk przy ujściu Syr-Daryi, za pomocą flotylli umocnili swe stanowisko na wybrzeżach Aralu i zmusili chana Chiwy do zawarcia przymierza. W ten sposób przygotowana rozpoczęła się w 1864 r. walka z chanatami środkowo-azyatyckimi, osłabionymi przez rozterki wewnętrzne. Oddział rosyjski pod dowództwem Czerniajewa posunął się wzdłuż Syr-Daryi, w 1865 zdobył Taszkent, należący do chana Kokandu, w 1866 zajęto część chanatu bucharskiego. Z przyłączonych posiadłości utworzono generał-gubernatorstwo turkestańskie, którego naczelnikiem został generał Kaufman. W 1868 r. nowy generał-gubernator zajął część kraju położonego między rzekami Amu i Syr-Daryą, (Sogdyana), rozbił wojska bucharskie i zajął Samarkandę; z reszty zaś posiadłości chan obowiązał się płacić haracz.

W parę lat potem przyszła kolej na Chiwę. Czternastotysięczny oddział rosyjski po nadzwyczaj uciążliwym marszu zajął stolicę chanatu, ziemie na prawym brzegu i ujście Amu-Daryi odstąpić musiał chan Rosyi i uznać się jej lennikiem. Rozbójnicze napady mieszkańców Kokandu dały powód do nowej wojny, z początku przyłączono tylko część, w 1876 r. zaś i resztę chanatu, z którego utworzono obwód ferganski. Tym sposobem stanęła Rosya jednocześnie na granicach Chin i Afganistanu.

Pierwszy, długo przygotowywany i umiejętnie wykonany atak osiągnął swój cel—drugi poprowadzono z innej strony. Do Baku, leżącego na zachodnim brzegu morza Kaspijskiego zbudowano kolej, stamtąd statki przewożą wojska na brzeg wschodni, do Krasnowodzka. Od tego punktu wytknięto nową linię drogi żelaznej, która w znacznej części dziś już ukończona biedz ma przez Merw do brzegów Amu-Daryi. W 1879 roku zaczęła się walka z achał-tekińcami, w której z początku ponieśli rosyanie porażki. Niepomyślny debiut nie zniechęcił ich jednak; już w 1881 r. generał Skobelew po krwawym szturmie, w którym zginęło 30,000 tekińców, opanowywa Gеok-Tepe i całe plemię poddaje się Rosyi, która w ten sposób zyskuje bez walki Aschabad. Skoro kolej do tego miasta ukończono w 1883 r., wyruszyła wyprawa na Merw, 12 lutego 1884 r. starszyzna merwska złożyła przysięgę Cesarzowi rosyjskiemu. Wkrótce potem zajmują rosyanie Seraks, nominalnie należący do Persyi, ale faktycznie dawno już odstąpiony turkomanom i północny brzeg Atreku. Dopiero teraz, pozostawiając za sobą najuciążliwszą część drogi przez stepy, znaleźli się oni w urodzajnych dolinach Murghabu i Heri, prowadzących w samo serce Afganistanu. Niedługo skończona zostanie kolej do Seraksu i Merwu, która połączy militarnie wnętrze państwa z tym ważnym punktem działania. Dalsze etapy tego marszu są tylko kwestyą czasu.

Nabytki rosyjskie w Azyi środkowej, dokonane w ciągu dwóch ostatnich stuleci

---

brał się jak śnieg do Afryki i z wojskiem niezawodnie stopnieje.

Anaksagoras.

Z pisma widać, że zakłopotany.

Protagoras.

I słusznie, bo spartanie, zawładnąwszy Atenami, mogą mu oddać szpetną żonę, a zabrać piękną kochankę.

Anaksagoras.

Lekko go ważysz, a powinieneś szanować.

Protagoras.

Ależ szanuję, zwłaszcza odkąd rozwiódł się z owcą, której baranki miałem szczęście hodować.

Anaksagoras.

Wiesz o rozwodzie?

Protagoras.

Najdokładniej, chociaż moje uszy nie były godne, ażeby w nie tajemnicę złożył.

Anaksagoras.

Zatrzymaj ją jednak do czasu.

Protagoras.

Ale nie zatrzymam wszystkich plotkarskich młynów, które ją teraz mielą. Przed odjazdem Perykles załatwił ze mną rachunki i uprzedził, że żonę z synami wysyła na czas swej nieobecności do krewnych w Kefisyi. Tymczasem ona wezwała mnie do obecnego swego mieszkania i becząc, jak by ją kto strzygł tępemi nożycami, oznajmiła, że Perykles z nią się rozwiódł. Umywszy twarz w rzęsistych łzach, zaczęła wzdychać ku mnie tak czule, że gdybym był chciał koić jej boleść, miałbym już dziś tłustą żonę, która umie wybornie prząść, gotować, kłaść kabałę i zapewne na twardem łóżku leżeć. Pocieszałem ją, że wdowieje po raz drugi, więc z tym stanem oswoi się łatwo, ale ona wciąż wyrzucała z piersi jedno: Aspazya! Aspazya! Właśnie na jej prośbę przyszedłem tu dowiedzieć się, kiedy Perykles wróci.

Anaksagoras.

Znasz tę Aspazyę?

Protagoras.

Nieco. Perykles zamknął ją na krańcu miasta z głuchoniemą niewolnicą, ale słyszałem, że bardzo piękna, że sprzedawała się w Milecie, że ją Fidyasz do Aten przywiózł, w kilku posągach odtworzył i podczas uczty wspaniałomyślnie przyjacielowi darował.

Anaksagoras.

Fałsz!

Protagoras.

O, widzę, że szanowny mistrz, który udawał nieświadomego rzeczy, może mi dać dokładne objaśnienia.

Anaksagoras.

Mylisz się, nie dam żadnych, prostuję tylko, że Aspazya nie sprzedawała się w Milecie, nie przybyła tu z Fidyaszem, który jej nigdy nie widział, lecz ze starą matką, handlarką grzebieni, z którą dotąd mieszka. Ale któż to brednie tak gęsto rozsypuje, że ich tyle zgarnąłeś?

Protagoras.

Najmocniejsza dmuchawka plotek, Elpinika, siostra Cymona, która jest wściekłą na Peryklesa za to, że przyczynił się do wygnania jej brata, a jak inni twierdzą, za to, że... niczego od niej przyjąć nie chciał, chociaż ona mu wszystko ofiarowała— nawet bez ręki. To wszakże niewątpliwe, że poślubiła starego Kaliasa, ażeby jego skarbami, które gdzieś po persach wykopał, szkodzić Peryklesowi. Jest to dziś przewodniczka partyi arystokratycznej, bo Tucydydes dopiero po ster ręce wyciąga. Czy Aspazya rzeczywiście piękna?

Anaksagoras.

Widziałem ją — prawdopodobnie i ty niedługo zobaczysz, tymczasem zaś, daruj,

przedstawiają obszar o wiele większy, jak cała część nie rosyjskiej Europy. Oto ich wykaz w porządku chronologicznym.

1725 r. Obwód Akmoliński.

1796 r. Ziemie między rzeką Uralem i Bałkaszem.

1812 r. Baku z obwodem.

1856 r. Kraje między jeziorem Bałkasz i górami Ała-Tau. Płasko-wzgórze Ust-Urt.

1865 r. Taszkent z okręgiem.

1866 r. Część Buchary.

1868 r. Kraj Soghd między Syr i Amu-Daryą, Samarkanda z częścią Buchary, reszta płaci haracz.

1873 r. Część Chiwy—reszta płaci haracz.

1875 r. Część Kokandu.

1876 r. Reszta Kokandu.

1881 r. Geok-Tepe i Aschabad.

1884 r. Merw, Seraks i północny brzeg Atreku.

Rok 1885 zaznaczy jako nabytek rosyjski obszar Penszdeh wraz z przesmykami, wiodącymi do Heratu, i według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze przed końcem tegoż roku Herat znajdzie się w rękach rosyjskich. Do takiego wniosku dochodzi dziennik niemiecki (*Frankfurter Zeitung*), z którego czerpiemy powyższe dane. Dodać jednak należy, że w polityce azyatyckiej Rosyi, oprócz „żelaznej konsekwencyi,“ grają jeszcze wielką rolę czynniki naturalne, względy geograficzne i etnograficzne. Cały ten ruch podbojowy jest w pewnej mierze zjawiskiem naturalnem, żywiołowem, którego konsekwencya dla tego jest „żelazną“ że jest przyrodzoną, konieczną. W dążeniu swojem Rosya nietyle nie chce, ile nie może zatrzymać się na pewnej granicy. Wobec istniejących warunków geograficznych każda wojna wywołuje szereg następnych, każdy podbój pociąga za sobą coraz nowe zabory. Z wzrastającą szybkością, w ciągłych starciach z rozbójniczemi hordami koczowników posuwa się ona ku południowi — jak trafnie powiada jeden z najlepszych znawców stosunków azyatyckich, — „refleksyjnym ruchem człowieka dręczonego przez muchy.“ Dla należytej oceny polityki rosyjskiej w Azyi środkowej wzgląd ten koniecznie trzeba mieć na uwadze.

LISTY KRAKOWSKIE.

(Wystawa Grottgera).

---

14 czerwca.

Czerwiec zwykle gotuje krakowianom niespodzianki. To zjazd jakiś, to uroczystość uniwersytecka, to obchód pamiątkowy przerywa letnią ospałość. W bieżącym roku dostaliśmy bardzo miły, bardzo pożądany upominek czerwcowy—bo wystawę dzieł Artura Grottgera, urządzoną przez Towarzystwo Sztuk Pięknych na dochód siostry zmarłego malarza.

W sali Sukiennic środkowej, przezwanej Langerówką, a dobrze znajomej z wystawy dzieł Matejki, jubileuszu Jana Kochanowskiego—i wielu innych chwil ważnych dla sztuki narodowej, zgromadzono przeszło sto prac zgasłego przedwcześnie, wielkiego artysty. Langerówka zmieniona jakby w świątynię kultu mistrza: mieści się w niej pośród zieleni i ponsowych zasłon cała działalność twórcza Grottgera, zaczą wszy od prac naiwnych, dokonanych ręką dziecięcą a skończywszy na kartonach godnych podziwu, zdradzających potężne natchnienie twórcze. Grottger cały, ze wszystkiemi chęciami, bólami, skargami staje przed widzem i przypomina mu przeszłość niedawną...

Mimo że dużo płócien i kartonów nie nadesłano, a więc wystawa—w całem tego słowa znaczeniu—zupełną nie jest, zawiera przecież z małymi wyjątkami wszystkie ważniejsze dzieła Grottgerowskiego ołówka i pendzla, niemal wyłącznie będące własnością osób prywatnych, przestrzegana troskliwie, jak skarby i drogie sercu pamiątki. Przykład ofiarności dla wystawy dał cesarz austryacki, udzielając słynnych kartonów, noszących tytuł *Wojny*, czyli *Doliny łez*, zdobiących sypialnią cesarską w zamku Gödölö. Przykład ten znalazł dużo naśladowców, dzięki czemu zbiór i co do liczby wygląda poważnie.

Ugrupowanie obrazów pozostawia bardzo wiele do życzenia; przedewszystkiem brak układu w porządku chronologicznym, zarówno dzieł samych, jak i katalogu, służącego za przewodnika i tłomacza. A układu właśnie racyonalnego każdy ma się prawo spodziewać, kto pragnie wytworzyć sobie ogólne, jasne pojęcie o rozwoju talentu Grottgera. Byłoby to połączone z istotną korzyścią dla publiczności, która zna tylko pewną grupę utworów artysty, z charakterem poetycznym, lirycznym—nie malarskim, zgoła przeciwnym temu, co Grottger dzieckiem zapowiadał. Należało uwidocznić, jak ten człowiek, który rozpoczął od rzeczy zdrowych, jędrnych, buchających życiem, od scen rycerskich, pełnych koni, gwaru i zbrojnych mężów, odnoszących się do wojny z roku 1831, do rycerskiej przeszłości narodowej, opuszczał zwolna kierunek, w którym mógł był przerość Kossaka a stanąć obok Matejki i pogrążył się w epizodyczności pełnej marzycielskiego czaru, rzewnej, muzykalnej, lecz w niczem niepodobnej do owych zadatków pacholęcego wieku. Nieumiejętne ułożenie wystawy sprawiło, że widz opuszcza Langerówkę, nie wniknąwszy w istotę rzeczy i wynosi tylko wrażenie z owych ostatnich prac, pełen przekonania, ze Grottger był jednakim od samego początku zawodu i że żadnych faz w życiu jego i rozwoju nie było.

Mimo tego uszczerbku wystawa oddziaływa ogromnie siłą zgromadzonych utworów, czaruje wszystkich, przykuwa do siebie... To silne działanie na nerwy, wytrącanie umysłów z pogodnego, trzeźwego nastroju, jest właśnie główną cechą twórczości Grottgera. Próżno by ktoś wśród jego kartonów szukał dzieła, któreby nic nie kazało dośpiewywać w duszy, działało wprost na widza tęczową grą barw, wymową potężnych kształtów, mówiących ruchami i pozą wszystko, co mają powiedzieć, tłomaczących się wrażeniem wywartem bezpośrednio—namacalnie, że tak powiem... Malując np. bitwę, nie roztacza on dwóch wojsk walczących wśród kurzawy i gradu pocisków na rozległej równinie, ani nie przedstawia wykrzywionych trudem i wściekłością twarzy, pasujących się wrogów, konających rycerzy, szczęśliwych zwycięzców—lecz narysuje kredką widownię ponurej roboty ludzi—szakali, obdzierających śród ciemnej nocy trupy ległe na pobojowisku. Na widok tego kartonu dreszcz mimowolny przenika widza, choć nie tumult, nie błysk mieczów i krwi przelanie dał mu przed oczy artysta, lecz mglisto, czarne sylwetki kilku postaci, pogrążonych w nocnym mroku. To znów z wielkiej bitwy, stoczonej w głębi odwiecznego lasu, pochwyci drobny ułamek, śmierć gajowego, trafionego kulą w same piersi, mijanego bez pomocy przez spieszących na krwawe zapasy towarzyszów. Artysta unika spotkania się oko

---

usta moje nie mogą być szparą, przez którą byś mógł zajrzeć w prywatne tajemnice mojego serdecznego przyjaciela. Jakiś zgiełk przed domem...

Protagoras.

Wojna — więc lud pije i krzyczy. Zwykle męztwem nalewa się w szynkach.

Anaksagoras.

Już mrok zapada a Fidyasz nie wraca... Powinienem coś robić... Perykles prosił mnie, ażebym przemówił do ludu... co ja powiem... takiego zadania nie dźwignę... Wrzawa coraz głośniejsza... Ach, wolałbym mieć do czynienia z całym wszechświatem, niż z gromadą ludzi, którymi kierować trzeba... (*wbiega Fidyasz*) Przecie... jesteś...

SCENA 5.

Ciż, Fidyasz.

Fidyasz (*wpadając*).

A, padlina! Hyenom sprawiłbym z nich biesiadę! Dumnie błyskają miedzianemi czołami, jak gdyby nie ta sama żywiła ich ziemia! Popatrzcie na wesele naszych arystokratów! Jeden bezwstydnik śmiał zapytać mnie tu przed progiem, czy ugotowaliśmy już dla spartan polewkę. Utoczyłem mu z nosa na czarninę trochę zaprawy! Za chwilę Ateny wyroją się na szańce. Protagorasie, jesteś również powołany do pełnienia służby obywatelskiej.

Protagoras.

Mus jest wszystkich nas panem — słucham go, nie ciebie.

Fidyasz.

Język włóż do pochwy — miecz wyjmij.

Protagoras.

Pod czyją mam być komendą?

Fidyasz.

Pod moją.

Protagoras.

Ho, ho, przed zasługą mam już zaszczyt, który mogę odstąpić każdemu za spróchniały wiór!

Fidyasz (*surowo*).

Dłużej rozprawiać nie mamy obaj czasu. Idziemy! (*wsuwa się zasłonięta kobieta*).

SCENA 6.

Ciż i Kobieta.

Protagoras (*zatrzymując się*).

O, jakaś dobroczynna niewiasta. Zgrabna nimfo, jeśli dziś przypada twój nocny dyżur, możesz odejść, gdyż Perykles jeszcze nie wrócił z wojny.

Fidyasz (*usuwając Protagorasa*).

Czego życzysz sobie obywatelko?

Kobieta (*wzruszona*).

Prawda to, że wojska ateńskie rozbito a Perykles — w niewoli?

Fidyasz.

Nic o tem nie wiemy.

Protagoras.

Owszem, w niewoli — u pewnej czarodziejki, której go nie odbijesz.

Kobieta.

Jeśli Perykles jeszcze nie zwyciężony, to skąd ten młodzieniec ma odwagę znieważać go w tym domu?

Protagoras.

Pociecho zmysłów...

Fidyasz.

Protagorasie!

Protagoras.

Tak się istotnie nazywam, ale groźny Fidyaszu — to jeszcze nie obrona Aten, ażebyś już miał prawo mi rozkazywać; nie

w oko z przedmiotem w całej pełni, na wielkiej scenie kompozycyi; nie zaludnia szerokich płócien tłumami, lecz zbiera pyłki, odblaski, okruchy, i z nich układa czarodziejską mozajkę. Do wytłomaczenia się z jednej tragicznej myśli potrzebuje całego szeregu kartonów; nie skupia natchnienia w jednej całości, lecz spowiada się z całego łańcucha składowych wyobrażeń, tak jak one mu zrodziły się w umyśle, jedno po drugiem.

Dla tego też prace jego robią tak dziwne, nie dające się z niczem porównać wrażenie. Widz myśli razem z artystą, dopowiada sobie i uzupełnia szczegóły, skupia je w całość, pracuje wszystkiemi władzami duszy. Obrazy, jak tony muzyki potrącają o drzemiące struny serca, popychają je do ruchu i ruch ten powtarza się w nieskończoność sam przez się, bez dalszego udziału pierwszej podniety. Zadumany, zapatrzony w karton błąkasz się po gruzach, po bojowiskach, odgrzebujesz zapomniane dzieje i wspomnienia, odbiegasz myślą daleko od treści kartonu—marzysz... Wojski dawno grać przestał, ale echo gra i brzmi bez końca...

Takim jest Grottger. Pochwycił on tajemnicę niemego porozumienia się twórcy z otoczeniem, tajemnicę, której błahe na oko drogi i środki rozebrać się i ująć miarą sądu nie dadzą, niedostępne bezpośredniemu ocenieniu, wymykają się bliższej analizie. Tajemnica ta, polegająca na skupieniu w drobiazgowym rysie jakichś olbrzymich motywów, jest dzieckiem naszego wieku kapryśnego, nerwowego, złożonego z miliona nieokreślonych uczuć, chęci, niespełnionych dążeń i pragnień; znali ją w poezyi Heine i Lenau, w muzyce Chopin—w malarstwie pochwycił ją Grottger. Wobec niej zacierają się różnice pomiędzy warunkami pojedyńczych gałęzi sztuki, rozpływają się w jednym wspólnym celu targnięcia silnego za najskrytsze, najserdeczniejsze struny ducha, by same w sobie drgać poczęły i własnym zabrzmiały tonem.

Ten rodzaj twórczości, pozbawiony potęgi wymownego piękna, obleczonego w wyraziste kształty zewnętrzne—wymaga koniecznie duchowego pokrewieństwa, ścisłego zespolenia między twórcą a tym, który ma go pojąć i odczuć. Obaj muszą mieć wspólne troski, wspólne bóle, jedną spuściznę przeszłości i jedne na przyszłość nadzieje. Dla tego Grottgera nie pojmie człowiek obcy, nie odczuje go rzemieślnik lub wieśniak, który z natury swej jest w sztuce poganinem, domagającym się zrozumiałości i pełnego przedstawienia rzeczy, bez omówień, uczuciowych przenośni i tajemnych kontrastów; jemu nie spodoba się takie *Losowanie*, bo powie, że robotnik przy urnie wygląda z fryzowanymi włosami na pańskie dziecko, że ludzie Grottgera kategoryami całemi są do siebie podobni, pozbawieni cech osobniczych.

To też Grottger jest na wskroś artystą wykształconej publiczności—ona jedna posiada klucz do czarownych zamków jego ręką zaklętych. Czy po wyczerpaniu się z czasem tradycyj wspólnych, Grottger za lat wiele będzie równie zrozumiałym i wielbionym dla tych właśnie zalet, za które dziś jest wielbiony, tego przewidywać nie podobna. Bądź co bądź zaznaczyć trzeba, że pomiędzy poetycznością liryczną, sentymentalną, powiewną, nie ziemską a silnym, pogodnym, wymownym realizmem plastyki dobrej szkoły przepaścista istnieje różnica; że pewne tylko czasy i pewne tylko warstwy umieją wypełnić ją sobie pojęciami i nastrojem ducha, ale ta ich praca wiekuistą nie jest, idzie wraz z niemi do grobu, pozostawiając potomności prawo własnego sądu. Z kultu Grottgera nie jedno też może odpadnie i zwiędnie, zawsze jednak dość mu pozostanie na przyszłość: będzie on dla niej mistrzem szlachetnym, podniosłym, pełnym wytwornej prostoty kompozytorem i pierwszorzędnym znawcą ducha ludzkiego, będzie wzorem artysty, co nie kłamał nigdy zapału, ani umiał frymarczyć dla marnego rozgłosu ogniem twórczego natchnienia. Był to talent zbyt indywidualny, by mógł się wykazać ojcami po duchu lub by pokolenie godnych następców dla pędzla swego zostawić. Przesunął się w dziejach sztuki naszej jak cień sympatyczny, serdeczny i cichy...

„Niektóre pisma widząc ustawiczne zaniedbanie sceny krakowskiej, która pobierając zapomogę od wydziału krajowego 10,000 złr. powinna mieć na widoku cel trochę szlachetniejszy, niż dorobek prywatnego przedsiębiorcy, powstały przeciw nadużyciom. Ale ten przedsiębiorca, to p. Koźmian, więc *Czas* krakowski, *Przegląd* i warszawskie *Słowo*, może kruszyć kopie w obronie „dyrekcyi," może sławić zasługi dyrektora, jako „wychowawcy talentów" i „kierownika sceny." Nie wypada wglądać w kwestyę wychowywania pewnych talentów przez p. Koźmiana—idzie o kierownictwo. Zasługą żadną nie jest prywatnego przedsiębiorcy, że dbając o zysk własny, krzątał się koło repertoaru, że sprowadzał dobrych aktorów—to leżało w jego własnym interesie; ale prawo mamy zapytać dzisiaj, co się dzieje z zapomogą wydziału krajowego? Nie widzimy ani talentów na scenie krakowskiej, których obecność pozwoliłaby na wystawianie arcydzieł poezyi dramatycznej, ani dekoracyj, któreby mogły współzawodniczyć choćby z prowincyonalnemi. A przecież Kraków, który zbiera się w teatrze stale i wspiera go materyalnie, ma prawo wymagać i repertuaru i sił zdolnych i wystawy.

Kłamliwe sprawozdanie *Czasu*, podnoszące zdolności aktorów i bogactwo wystawy, nie przekonają, że jest tak, jak być powinno.

Polemika ostatnia wynikła wskutek postępku p. Koźmiana z kilku zdolnymi autorami i jest podwójnem świadectwem: staranności p. „dyrektora" o skład personelu i wyzyskiwania artystów. Na koszta podróży do Tarnowa, dokąd trupa jeździ corocznie, zażądało kilku z nich pewnej nieznacznej kwoty.

P. Koźmian, odbywający stałe kadencye letnie w Wiedniu, telegraficznie dał zuchwalcom dymisyę. Oczywiście ubytek pięciu osób nie jest upadkiem sceny, ale dalsze losy „warchołów" ciekawą kartką uczciwości stańczykowskiej. Chcąc zarobić na chleb powszedni, pragnęli urządzić sobie kilka koncertów. Zaraz w Krakowie, jeden z muzyków, aby nie stracić „łaski pańskiej," obiecawszy swój współudział, odmówił w ostatniej chwili. Wygnańcy znaleźli się na indeksie i w żadnem mieście nie chciano im dać pozwolenia na przedstawienie; we Lwowie zaś wstrzymywano wyrobienie koncesyi. Jest to dowód, jak partya „lojalistów" postępuje sobie w drobnych zajściach, a zarazem wskazówką, jak trudno będzie rozciągnąć nad przedsiębiorstwem teatru kontrolę i jak długo jeszcze wspierana przez kraj instytucya będzie dojną krową dla spekulantów, zasłoniętych przyjaźnią sfer wpływowych. Ta sympatya jednak nęci chętnych do niesienia usług. Niedawno we Lwowie p. Masłowski, zrobiwszy *przegląd* własnych przekonań, poniósł w ofierze stańczykom swe renegackie pióro, aż i w Krakowie wylągł się kogucik, co skrzydełkami trzepocze ku możniejszym, czekając, azali mu to nie przyniesie jakich korzyści. Jest to lekki kochanek tutejsze-

---

krzycz więc i nie wyłuskuj sobie daremnie gniewem oczu z powiek.

Anaksagoras (*do Protagorasa*).

Milcz, bo jesteś w błędzie.

Kobieta (*do zmieszanego Anaksagorasa*).

Ale on żyje? Nie taj najgorszej prawdy.

Protagoras.

Mistrz boi się sam tu nocować.

Anaksagoras (*cicho*).

Uspokój się... żyje... pisał przed godziną list do mnie...

Kobieta.

Do ciebie tylko...

Anaksagoras.

I do archontów...

Kobieta.

Tylko...

Anaksagoras.

Nie narażaj się... wróć do domu... on zapewne dziś przyjedzie.

Kobieta.

Dziś?! Nie ruszę się ztąd. Więc nie pojmany... żyje! Ach! Co to jest? Okrzyki — może on! (*wdziera się gromada mężczyzn i kobiet, na ich czele Elpinika; kobieta kryje się za kolumnę*).

SCENA 7.

Ciż, Elpinika i jej orszak.

Głosy.

Schował się, ale my znajdziemy i wykurzymy borsuka!

Elpinika.

Śmiało!

Jeden z gromady.

Zburzyć dom mordercy Aten!

Elpinika.

Na tem miejscu usypiemy kopiec dla poległych, których on na rzeź poprowadził!

Drugi z gromady.

Hej, przyjaciele wielkiego wodza, gdzie wasz pan!

Elpinika.

Uciekł, gdy wszyscy padli, którzy mieli krótsze od niego nogi!

Głosy.

Tanagra!

Trzeci z gromady.

Wynoście się się ztąd, kto nie jest salamandrą, bo rozniecamy ogień!

Fidyasz.

Zbóje jesteście, czy obywatele! Chcecie tu złożyć pijacki sąd na bohatera, który odparł wroga i któremu zawdzięczacie możność bezpiecznego przespania wczorajszej nocy w swoich barłogach!

Głosy.

Co on mówi?

Elpinika.

Ha, ha, ha — odparł wroga! Straszny to bohater! Gdy wyjdzie w pole, zające pierzchają a żaby skaczą do wód. Przed spartanami zemknął z odrazy, nie z obawy. Ha, ha, ha!

Fidyasz.

Kto?!

Elpinika.

Wielki mąż, który piękne kobiety w Atenach podbija a znakomitych obywateli wypędza.

Fidyasz.

Kto taki?

Elpinika.

Dwóch niema — tylko jeden Perykles!

Fidyasz.

Oszaleli!

go teatru, niejaki p. Arwin, średni aktor, gorszy tłomacz, a już żaden literat. Po nieudałej próbie wydawania *Dziennika powieści* założył *Kuryera świątecznego*, w którym sławił zasługi jednej z autorek; dziś zamienił to wszystko na stańczykowskie pisklę i ochrzcił mianem *Bicza*. Ponieważ biczami bawią się albo dzieci, albo furmani i lokaje pod oknami wiwaty wytrzaskują a redaktor wyrósł z dziecinnego wieku, przeto wiemy, jakiego stańczycy zyskali sprzymierzeńca."

M.

Literatura czeska.

Twardowski poemat Jarosława Wrchlickiego. Praga. Drukiem i nakładem Fr. Szimaczka. 1885.

Postęp oparty na miłości, ludzkość całą bratnimi jednoczącej węzłami, jest ideałem, którego poeta we wszystkich swoich utworach zawsze wiernym pozostał kapłanem. Wobec też chwilowego tryumfu wsteczności, napełniającego arenę spółczesnych nam stosunków okrzykami, lutnia młodego wieszcza z nad Wełtawy przyjemne budzi w nas uczucia.

W pieśni pierwszej opowiada młodociane bohatera swojego lata. Występuje tu pewien anachronizm, niezgodny nietylko z dziejami, ale i z podaniem ludowem.

Wiadomo, że Twardowski, potrosze astrolog, alchemik i chiromanta, żył w drugiej połowie XVI w. On to wskrzesza cień Barbary Radziwiłłówny, wzbudzając złudzeniami optycznemi podziw zabobonnego Zygmunta Augusta. Owoż poeta, opisując komnatę, w której miał się urodzić czarnoksiężnik, wspomina o portrecie Sobieskiego, wiszącym na ścianie (!). Ojciec Twardowskiego, szlachcic zawadyaka, ginie gdzieś na wojnie, uganiając się za tatarzynem.

W chwili narodzin bohatera, ojciec przeklina go, bo nie poznaje w nim swojego potomka, który staje się odtąd własnością czarta, co stanowi pewną niezgodność z podaniem naszem, gdzie Twardowski w dojrzałych już latach, duszę swoją za pomocą cyrografu czartowi zapisuje.

Żywot studencki Twardowskiego przypomina nieco *Fausta* Goethowskiego i przygodę jego w piwnicy Auerbacha w Lipsku. Nie widzimy tu czarodzieja polskiego, przejeżdżającego się po szlachecku w złocistej karocy i tłukącego garnki babom na rynku krakowskim. Przykładem też germańskiego protoplasty, wiodąc żywot hulaszczy, uszczknął różę w postaci nadobnej dziewicy, aby obyczajem swawolnych pacholąt porzucić ją na drodze hańby. W części czwartej, zatytułowanej: „Ojciec i syn," czart na żądanie mistrza odkrywa mu właściwego ojca, przebywającego w szpitalu waryatów.

Przybrawszy na się postać magnata chytry Mefisto, w rozmowie z lekarzem, porównywa zakład obłąkanych z urządzeniami niektórych państw Europy. W baladzie o pająku, Twardowski zgodnie z podaniem, ucznia i famulusa swojego zamienia w pająka i na przędzy go zawiesza. Siedzącego w pracowni i otoczonego księgami, retortami itp., nawiedzają dwie postacie alegoryczne: scholastyka i mistyka, które chwaląc się i ganiąc nawzajem, po długich polemikach i bójkach znikają, zostawiwszy dwie książki: *Sumę teologii* i *Naśladowanie Chrystusa*. Pozwolimy sobie przytoczyć w tem miejscu ustęp, łaskawie nam przed tłumacza p. Miriama w rękopiśmie udzielony.

„Dwie małe książki—a przecie
Co już waryatów spłodziły,
I wieki całe na świecie
Ród ludzki za nos wodziły."

Na zapytanie Twardowskiego, gdzie jest prawda? czart zbywa go odmowną odpowiedzią, radząc mu, aby Wenerze palił kadzidła. Na skinienie też władcy piekieł zjawiają się cienie wszystkich niewiast historycznych jak: Semiramidy, Bethsabei etc.; widok jednak osiwiałej i łzami skropionej Ewy, biblijnej rodu ludzkiego matki, wzbudza w Twardowskim poczucie grzechu i pragnienie prawdy. Czart chcąc usunąć z oczu jego widok nędzy ludzkiej, kruszącej mu serce, zanosi go na swoim płaszczu powietrznym do Wenecyi, gdzie na balu u doży, Twardowski poznaje Lukrecyą, przed którą sam doża, a nawet kardynał legat papieski, kolana swoje zginają. Zawiązuje się nowy stosunek miłosny między Lukrecyą a szlachcicem polskim, który przestrzeżony przez biesa, iż go bogdanka dla dawnych wielbicieli zdradza, przebiera się za żebraka i nawiedziwszy Lukrecyę w mieszkaniu podczas gruchania z kochankami, pluje w nadobne lice włoszki i przeklina ją w sposób alegoryczny wraz z całą rzeczypospolitą wenecką.

Pałający żądzą dociekania i badania prawdy, unosi się mistrz Twardowski w obłoki, sądząc, że tam przyczynę wszechistnienia odkryje, lecz natomiast spostrzegł czarta, niosącego dusze grzeszników do piekieł. Znudzony tem spuszcza się na ziemię i w Tatrach nad Morskiem okiem pragnie zbadać prawdę na łonie odwiecznej przyrody, wśród której atoli ciemnię, chłód i próżnię znajduje. Mefisto szydzi sobie ze znikomych wysiłków człowieka. Ksiądz dopiero, który go chrzcił, wskazuje mu, że nie gonitwa za prawdą, lecz czyn istotne zadanie życia człowieka stanowi. Zawieszony przez czarta czarnoksiężnik między niebem a ziemią, gorzkie łzy nad dolą ludzkości leje i przykładem biblijnego Hioba, rozmowę z Bogiem o celach człowieka wiedzie. Wierny uczeń jego w postaci pająka, przynosi mistrzowi radośne wieści o odrodzeniu człowieka, gdy ideały zakute w pęta srogiej rzeczywistości, stają się czynem. Twardowski prosi Boga, aby spuściwszy go teraz na ziemię, koniec cierpieniom jego położył. To też poeta mówi w epilogu: on spokój ma—ty jeszcze idziesz w bój o pieśni!

Justyn Feliks Gajsler.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Autor *Plotek i prawd* **Drugi tom**. Powieść. Kraków. 1885.

Dla zilustrowania fałszywych pojęć o honorze, panujących wśród pewnych warstw społeczeństwa naszego, niemniej dla uwidocznienia smutnych następstw słabości charakteru i pobłażliwości, dzięki którym pojęcia owe często biorą górę nad zasadami zdrowej uczciwości i sumienia — autor przesuwa przed oczami czytelnika szereg postaci mniej lub więcej wykończonych, związanych wspólną nicią opowiadania. Opowiadanie to płynie gładko i prawdziwie jest zajmującem, chociaż na żądanie jednej z jego słuchaczek rozpoczyna się od „tomu drugiego."

Dwu braci stryjecznych, młodzieńców z zamożnej szlacheckiej rodziny Brwickich, stara się o rękę panny Klaudyi,

---

Anaksagoras.

Alеż gwałtowna niewiasto i wy ludzie jesteście chyba nieprzytomni, albo zdurzeni!

Elpinika.

Tak, zdurzeni przez twego przyjaciela, który ledwie ma siłę nosić własną głowę, a chciał jeszcze dźwigać na niej Ateny. Gdy wojskom naszym hetmanił Cymon, biegła przed nim i trwoga a za nimi sława. Ale największy wódz Grecyi został wygnany jak szkodnik, dlatego, ażeby nie zdeptał robaka, który mu się koło nóg uwijał i nawet pod Tanagrą walczyć nie pozwolił, lękając się niby zdrady. Brat mój... Cymon... najmężniejszy syn Helady — zdrajca! Bogowie ukarali to nieme bluźnierstwo—nad ciałami żołnierzy ateńskich pod Tanagrą unoszą się stada kruków, które ogłaszają chwałę Peryklesa, przyczajonego może w piwnicy tego domu.

Głosy.

Spalić tę norę — zburzyć!

Jeden z gromady.

Cymona przyniesiemy na rękach, on z nas zetrze tę sromotę!

Fidyasz (*do Elpiniki*).

Skąd wiesz o klęsce pod Tanagrą?!

Elpinika.

Wyjdź na ulicę a zbiegli z placu boju i wam opowiedzą. Ateny okryte żałobą i hańbą! (*wrzawa na ulicy*).

Perykles (*za sceną*).

Otrąbić, że jestem w Atenach i że zdam sprawę ludowi.

Wszyscy.

Perykles! (*wchodzi*).

SCENA 8.

Ciż, Perykles.

Perykles.

Co to za zbiegowisko? Mężczyźni z kijami — kobiety — Elpinika?

Elpinika (*ironicznie*).

Przyszliśmy powinszować zwycięstwa.

Anaksagoras.

Wojsko nasze rozbite — spartanie idą do Aten — a ty uciekasz przed nimi — prawda to?

Perykles.

Kto skłamał?

Fidyasz.

Ta jędza i ten jej motłoch, który chciał twój dom zburzyć i spalić.

Perykles.

Warta! (*wchodzi dwu żołnierzy*) Odprowadzcie tę kobietę do mieszkania Cymona i powiedzcie, że mu przysyłam siostrę, ażeby strudzonemu bratu otarła z kurzu stopy, podała wody do umycia i ugotowała kolacyę.

Elpinika.

Dzięki tobie brat mój jest na wygnaniu.

Perykles.

Dzięki mnie jest w Atenach. (*Elpinika z żołnierzami odchodzi*). A wy, co chcecie palić, zapalcie pochodnie przed mównicą na placu ludowym. Zaraz tam przybędę.

Gromada.

Niech żyje Perykles! (*odchodzą*).

(D. c. n.).

Sprostowanie. W poprzednim numerze str. 291, szp. 2, wiersz 15 odcinka zamiast: *nic ludzkiego*, winno być *nieludzkiego*.

córki majora Wartyńskiego. Jednym z nich, Aleksandrem, szczere powoduje uczucie. Drugi, Ignacy, zepsuty do szpiku, strwoniwszy na hulanki i karty majątek po ojcu odziedziczony, liczne pozaciągawszy długi, a z tych niektóre na weksle ze sfałszowanymi podpisami krewnych — w ożenieniu tem widzi ostatnią deskę ocalenia się od hańby i kryminału; posagiem majorówny chce spłacić natrętnych wierzycieli. Gdy zaś majorówna wzajemnością swą obdarza Aleksandra, dla Ignacego czując pogardę i odrazę nieprzezwyciężoną, ten postanawia drogą podstępu dojść do urzeczywistnienia swoich zamiarów. Puszcza tedy pogłoskę po okolicy, jakoby Klaudya została przez niego uwiedzioną i jednocześnie za pomocą listów podrobionych, mających pochodzić od nieboszczki majorowej i Aleksandra, przekonywa majora, że Klaudya nie jest *jego* córką, ale *jego* żony i ojca Aleksandra, że, więc, wydanie jej za ostatniego byłoby dopomożeniem związkowi kazirodczemu... Do żywego tknięty tą wiadomością, major rażony zostaje atakiem apoplektycznym i wkrótce umiera, nie odzyskawszy przytomności, machinalnie przed śmiercią powtarzając: „Lodzia, precz! Lodzia precz!“ A zanim jeszcze Klaudya ma czas zastanowić się nad położeniem swojem, Ignacy przemocą porywa ją z domu rodzicielskiego i uwozi do swego majątku, gdzie, złamana pod ogromem wrażeń, w głębokie popada obłąkanie. Podczas gdy się to dzieje, familia Brwickich, powiadomiona o wszystkich nieczystych postępkach Ignacego, a głównie o tem, że sfałszował podpisy każdego niemal z jej członków i znaczne pożyczył sumy — w domu patryarchy swego Roberta naradza się, co począć. Jedni są zdania, żeby zaprzeczyć podpisów i dopuścić do procesów kryminalnych, inni, żeby krewniaka zabić, a jeszcze inni, żeby go się wyprzeć — staje jednak na tem, żeby przeprowadzić układ z wierzycielami „nie dla ratowania Ignacego, jak mówi jeden ze zgromadzonych, „ale tylko dla honoru nazwiska.“ Dbałość o ten honor także i kilka słów płaczliwych, kilka zaklęć pod „słowem honoru“ danych po pogrzebie majora, każe staremu Robertowi wierzyć w poprawę Ignacego, afiszować się z nim przed sąsiadami, a nawet podjąć się odebrania spadku po majorze i opłacenia tym funduszem długów lichwiarskich — czyli innemi słowy, każe jawnie przyznać się do wspólnictwa z oszustem, gwałcicielem i grabieżcą. Zadanie Ignacego przecież jeszcze nie skończone. Klaudya faktycznie tylko do niego należy, ślubu z nią nie wziął. A tu dla wylegitymowania się do spadku koniecznie metryki potrzeba, a ona, jako obłąkana, zezwolenia na małżeństwo dać nie może.

W tak trudnej chwili ofiaruje mu się z pomocą lekarz szarlatan dr. Kraspel, który wraz z obojgiem wyjeżdża za granicę i tam, choć nie sprowadza najmniejszego polepszenia w stanie Klaudyi, ułatwia jednak kupienie pożądanej metryki. Dzięki nabytkowi temu Ignacy rozpoczyna w kraju starania o objęcie majątku po majorze, gdy w tem, podczas przypadkowej jego nieobecności w Gleichenbergu, bliskim krewnym Klaudyi szczęśliwie się udaje wydobyć ją z ukrycia i dokładne zebrać dowody sfałszowania przedstawionego aktu ślubnego. A że i obłąkanie pod wpływem swobody widocznie ustępowało, postanowili tedy w drodze sądowej wyjednać unieważnienie małżeństwa i sparaliżować w ten sposób wszystkie niecne plany Ignacego. Ale „honor“ udaremnia znów wszystko. Przekonywają się, że Klaudya ma zostać matką i — *pro honore domus*, żeby nie plamić nazwiska, porzucają myśl powziętą — pozostawiając biedną kobietę na pastwę chciwości i okrucieństwa łotra wyrafinowanego...

Oto mniej więcej jest tło, na którem rozwija się najnowsza powieść autora *Plotek i prawd.*

Jest to bez zaprzeczenia utwór z wielkim napisany talentem, mieszczący niektóre epizody jakby wprost z życia wycięte. Do takich zaliczyć należy obchód imienin w domu Roberta Brwickiego, gdzie odbywa się narada familijna; przybycie proboszcza do umierającego majora i opowiadanie jego o niedoszłym ślubie Ignacego z Klaudyą, przerywane charekterystycznem „bójcie się Boga“ i puszczaniem dymu z fajki; walka o kluczyk od kasy stoczona przez Ignacego ze starym sługą przy łożu konającego majora; targ z Krasplem o przyprowadzenie Klaudyi do chwilowej przytomności. Charaktery głównych postaci, Ignacego i Klaudyi, przeprowadzone są z konsekwencyą. Toż samo powiedzieć można i o innych, jakkolwiek niektóre z nich autor kilku tylko szkicuje rysami. Dziwnem tylko i nieprawdopodobnem wydaje się niedołęstwo p. Roberta, dobrego obywatela i podpory rodziny, wobec oczywistości łotrowstw, jakich się dopuścił Ignacy; dziwniejszą jeszcze nieoględność i brak wszelkiej rozwagi ze strony d-ra Czarki, starego przyjaciela i lekarza domowego Wartyńskich, który mając świeże i dostateczne zasady do podejrzeń przeciwko Ignacemu, pozwala mu wykraść Klaudyę.

Wcale zaś już nie do wytłomaczenia jest postępek Aleksandra, który, wiedząc o wszystkich krzywdach, jakie jemu i jego wybranej wyrządził Ignacy — dogoniwszy go w lesie, z najzimniejszą krwią — wyzywa na pojedynek i nic więcej...

Język wogóle jest czysty, a w niektórych miejscach wytworny nawet. Wobec czego tem niemilej rażą chropowatości tego rodzaju, jak często powtarzające się „raz po *razu*,“ „*kragły* stół,“ „dozwalał domyślać się w nim *poetę*,“ „spocznie obok *zwłoków* żony,“ „*czmucić* ludziom oczy baśnią“ itp.

Ad. J. Cohn.

---

* *
*

Gdyby poezyą karmić można głodnych,
Ja-bym swe pieśni zmienił w kęsy chleba,
I was obdzielał, którym go potrzeba
Pilniej, niż dźwięków słodkich lecz zawo-
[dnych.

Gdyby poezyą można przyodziewać,
Ja-bym wciąż pieśni wysnuwał jak przędzę,
I tkał z nich odzież, i krył waszą nędzę —
Bo nagich odziać lepiej, niż im śpiewać.

Gdyby poezyą można wznosić mury,
Ja duszę całą wyśpiewać-bym gotów,
By was zasłonić od słonecznych grotów
I bezlitośnych urągań natury.

Lecz pieśń ulata, a chęć w miejscu stoi...
A gdy bezsilność szydzi tak okrutnie,
To-by się chciało strzaskać śpiewną lutnię,
Że niczem dla was — o biedni! o moi!

Leć jednak, pieśni! Nad świeżą ruiną,
Zjaw się nie płaczką, lecz gońcem otuchy;
Gdy ciał nie możesz, nakarm głodne duchy,
I ucz, że próżno żadne łzy nie płyną!...
. . . .

Wiktor Gomulicki.

LIBERUM VETO.

Zawsze to samo. — Sądzący i sądzeni na wystawie. — Jej cechy. — Jak odciąć wstrętny ogon. — Czy można sprawiedliwie osądzić tego, którego chcemy zjeść. — Wydawcy. — Termomikrofon p. Ochorowicza, jego wartość praktyczna i stosunek pokrewieństwa. — Niezjedzony obiad jubileuszowy. — Studenci hiszpańscy. — Cholera. — W interesie przemysłu i handlu. — Akademia krakowska.

Dwa bezpłatne widowiska można u nas oglądać zawsze: sądy konkursowe, niewłaściwie powołane, i osądzonych, protestujących przeciwko wszelkim wyrokom. Czy to urządzimy turniej literacki, czy przemysłowy, w końcu muszą nastąpić rozmaite oskarżenia bądź o nieznajomość rzeczy, bądź o niesprawiedliwość. Jeszcze nam nie wywietrzał z pamięci gwar, wywołany konkursem na pomnik Mickiewicza, a już drugi ciśnie się do głowy po wystawie rolniczo-przemysłowej. Stara historya — że zaś odmłodzona, przekonywają nas głosy publiczne, które zaśpiowały finał zwyczajowego chóru, rozpoczynanego uroczyście i spokojnie, a kończonego szyderczo i burzliwie. Finał ten jest obecnie nawet hałaśliwszym, niż zwykle—główny jego motyw brzmi bardzo mocno przy akompaniamencie prasy, która nie żałuje pedału. Sędziowie — powiada *Kuryera warsz.* — „skarżą się na zbyt lekkomyślne, często nietaktowne sformowanie (?) ich kompletów (?), wskazując, iż do specyalnej (?) ekspertyzy (? po co ten makaronizm!) powoływano ludzi, niemających dostatecznego pojęcia o sądzonych przedmiotach. Wystawcy znowu oburzają się na oddanie ich pracy pod sąd albo bezpośrednio zainteresowanych współzawodników, nawet z grona współwystawców, albo osób niekompetentnych.“ *Kuryer* wspomina dalej o „jarmarcznem zachowywaniu się,“ o „przyjacielskich niespodziankach,“ a wreszcie powiada: „Doryweczość wyroków, brak wiary w przemysł krajowy, lekceważenie atrybucyj (?) sędziowskich obok pyszałkowskiego przyznawania się do ich kompetencyj (?)—oto cechy, jakie bezwątpienia napiętnują orzeczenia niektórych delegacyj, tych mianowicie, w własnem łonie których toczyła się niejednokrotnie zawzięta walka pomiędzy istotną fachową wiedzą z jednej strony a arogancyą (?) z drugiej.“ „Warcholstwo“ dwustronne— w najlepszym gatunku!

Za życia mojego nie będę oglądał wielu zmian, które przyszłość urodzi; chciałbym jednak bodaj raz przed śmiercią ujrzeć jakikolwiek konkurs polski bez wstrętnego ogona, t. j. bez niezdolnych do sprawiedliwego wyrokowania sędziów i bez protestujących uczestników. Ogon ten, który się ciągnie za każdym naszym turniejem, bardzo łatwo odciąć za pomocą stosowania, o ile można, zasady wyborczej przy tworzeniu sądów. System prosty. Kilku przemysłowców staje np. do walki na piwo; komitet przedstawia im listę biegłych (przedewszystkiem chemików, nigdy zaś piwowarów), na których głosują i tworzą sobie sami przysięgłych. Wyrok ich sędziów honorowych będzie dla nich nietylko sprawiedliwym, ale i obowiązującym. Przeciw niemu zaprotestuje już chyba... „warchoł.“ Tymczasem dzieje się przeciwnie. Przypuszczam, że Lubowski osądziłby bezstronnie komedyę Zalewskiego, a Weloński rzeźbę Riegera, lub odwrotnie, gdyż ci ludzie nawykli ulegać pobudkom wyższym i wznosić się po nad osobiste względy: ale żeby p. Jung ocenił słusznie piwo p. Kijoka, lub p. Kijok Junga—temu uwierzyć mi trudno. Nie dla tego, że p. Jung, Kijok, Boenisch, Haberbusz i inni, jako ludzie, są źli, ale dla tego, że jako przemysłowcy są niezdolni do krytyki beznamiętnej i do poświęcenia w potrzebie własne-

go interesu na korzyść przeciwnika. Czy wyobrażacie sobie, ażeby np. p. Norblin mógł powiedzieć: wyroby Frageta są lepsze od moich? Nie—łatwiej by mu przyszło pokonać tysiąc filistynów. Żaden wyścig nie jest tak zażartym, żaden egoizm tak samolubnym, jak wyścig i egoizm handlu. Gdy jeden komedyopisarz czyta pracę drugiego, może nie dostrzegać jej zalet a widzieć urojone błędy; ale gdy piwowar skosztuje cudzego piwa, z kufla uderzą w jego nos wszystkie nieprzyjemne wonie a w ustach rozpłyną się wszystkie gorycze świata. Jeżeli literat pragnąłby literata zdeptać, to przemysłowiec pragnąłby przemysłowca połknąć i nie splunąć, ażeby ze śliną nie spadła na ziemię jakaś cząstka współzawodnika i nie stała się nasieniem. Czyż więc ci ludzie mogą się sprawiedliwie sądzić!

Wydawcy warszawscy widocznie nie dbają o złote medale. Czemu oni nie wystawili rozmaitych książek? Ręczę, że Gebethner i Wolff otrzymaliby nagrodę za dzieło Jarochowskiego, dr. Antoniego J. lub Sienkiewicza. Jeżeli zaś fabrykant płócien lub wyrobów żelaznych zostaje odznaczonym za prace swych robotników, nie pojmuję, dla czego nakładca nie miałby być odznaczonym za prace autorów. Stosunek ten sam.

Żadnego protestu nie wywołał nawet po cichu jeden tylko medal złoty, przyznany p. Ochorowiczowi, który z Mierzwińskim dzieli obecnie sławę pierwszych kochanków narodu. Termomikrofon jest rzeczywiście przyrządem dowcipnym, gdyż przenosi do całej sali wyraźnie gwizdanie i trąbienie, mniej wyraźnie śpiew a bardzo słabo dźwięk fortepianu. Do czego on może służyć — nie wiem; o zastosowaniu go bowiem w obecnym stanie do słuchania z oddali koncertów i przedstawień teatralnych sam wynalazca chyba nie myśli, wiedząc dobrze, że nikt nie chciałby urządzać sobie kosztownego aparatu, któryby mu odbijał tony muzyki i śpiewu stłumione i zaćmione rozmaitymi przydechami. Słyszeć p. Wojakowską lub Mikulskiego w teatrze, czy też w domu za pośrednictwem termomikrofonu — jest zapewne wszystko jedno; ale inaczej byłoby z p. Mierzwińskim lub p. Kochańską. Tu szłoby już nietylko o usłyszenie melodyi, ale także czystości i siły głosu, czego przyrząd p. Ochorowicza dotąd nie oddaje. Ale jest to sprawa wynalazcy i przyszłych nabywców jego dzieła. Ja tylko, po tylu protestach przeciw wyrokom sądu wystawowego, zaznaczam wstrzemięźliwość — p. Machalskiego. Przed paru laty byłem w Ratuszu na próbie telefonu, który przenosił do *całej sali* śpiew p. Dowiakowskiej w Resursie kupieckiej a nawet bito tam dla niej oklaski. Pomimo więc różnicy w (nieznanem ogółowi) urządzeniu aparatu i pomimo jego niewątpliwej wyższości, termomikrofon jest bliskim krewniakiem telefonu p. Machalskiego, o którym należy wspomnieć, tem bardziej, że dr. Ochorowicz ani na dochód pieniężny z biletów do jego kiosku, ani na dochód moralny z nieustających hołdów w prasie skarżyć się nie może. Jak rzekłem, dziś ledwie przy nim pomieścić się zdoła w ziemi polskiej p. Mierzwiński.

Gdzież wobec tych olbrzymów mógł odważyć się na przyjęcie objadu jubileuszowego skromny pracownik — J. Gregorowicz, redaktor *Tygodnika mód* i *Przyjaciela dzieci*! Czy odmówił przez skromność, czy przez wzgląd na podorwane zdrowie, które przy obrządzie uroczystego objadania się zrujnować łatwo, czy też przez niechęć do restauracyjnej czci — w każdym razie zrobił rozumnie. Podobało się to nawet kilku pismom, których współpracownicy stają zawsze na każde wezwanie do jubileuszowych objadów. „Słusznie“ — powiada jedno z nich. Co w przekonaniu tych organów jest słusznem, wszyscy święci, chociaż nimi rozmawiają, nie wiedzą. Objeść się na czyjś benefis — dobrze, nie objeść się — również dobrze. A może w tym ostatnim wypadku jest to tylko robienie *d'une bonne mine à mauvais jeu?*“

Gregorowicz (o którym wystawionym na Ujazdowie chłopom nikt pewnie nie szepnął) dał z innego względu pouczający przykład: objadkami jubileuszowymi trzeba szafować ostrożnie, bo cholera po zachodnich krawędziach Europy zaczęła sobie słać gniazda. Skutkiem tego zapewne t. z. studenci hiszpańscy znowu zawitali do nas. Ponieważ są to kantarydy nieszkodliwe, chociaż podobno działają pobudzająco na „urocze warszawianki,“ zgodziłbym się na denerwujące ich brzęczenie, aby tylko ich ojczyzna nie obdarowała nas bardziej szkodliwym upominkiem — zarazą. Obawa zaś jest tem bardziej usprawiedliwioną, że prześwietnie władze hiszpańskie umieją nietylko mierzwić brudem grunt dla cholery, ale — jak się okazało — ukrywać jej rozrost „w interesie handlu i przemysłu.“ Budująca to troskliwość! Dlatego, żeby fabrykanci koronek lub Xeresu mogli wywieść swój towar za granicę, osłania się przed światem cholera. Prawda jednak, coraz groźniejsza z pod handlowego korca wyłazi, a chorzy, których istnienia początkowo zaprzeczano, liczą się już w niektórych miastach na setki. Dotknięty tą wiadomością handel i przemysł zamierzają — zrobić rewolucyę.

Kraków nie wysłał do Hiszpanii żadnego Kocha, pracuje wszakże nad odwróceniem klęski w sposób mu właściwy i daleko skuteczniejszy. Akademia Umiejętności z zapisu Jakubowskiego, który, będąc księdzem, zajmował się matematyką i filozofią, wyznaczyła konkurs na „Historyę kościoła powszechnego w życiorysach.“ To się nazywa zrozumieć myśl ofiarodawcy. Ale czy też Krakowowi nie wystarcza kościół katolicki i potrzeba mu jeszcze powszechnego — w życiorysach?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Pożar Grodna. — Związek pomiędzy kwestyą ogniową i żydowską. — Nowe współzawodnictwo. — Antysemityzm otwarty i wykrętny.—Nowożytny stolik.— Ciekawy dokument.

Jakkolwiek codziennie prawie odbierane chłosty losu, zasłużone i nie zasłużone, przytępiły naszą wrażliwość, pożar Grodna rozbudzi ją bezwątpienia, wychodzi on bowiem po za granice klęsk „normalnych,“ i przepisami rozumnej harmonii tego świata dozwolonych. Nieszczęście nie chodzi nigdy samopas, poprzedzają je zawsze głupota i niedbalstwo. a towarzyszy mu nikczemność ludzka. Ponieważ spokojne i ciche Grodno nie zwracało na siebie szczególnej uwagi sfer niebieskich i ziemskich, pożar i jego następstwa odbyły się zwykłą w stosunkach naszych koleją.

Miasto liczące czterdzieści tysięcy ludności, rozrzucone na wielkiej przestrzeni, połączone kolejami z Wilnem i Warszawą, pali się w ciągu dni kilku i do walki z żywiołem niszczącym występuje tylko Leonidas — brandmajster z 25 strażakami, uzbrojonymi w trzy ręczne sikawki! Miejscowa straż pożarna robiła co mogła, naczelnik jej został ciężko raniony, jeden z toporników zabity, kilku innych poparzonych śmiertelnie. Wysiłki te wszakże nie zatamowały na cal nawet ognistego wylewu. Wilno odmówiło wysłania straży, Białystok pospieszył z pomocą, ale spóźnioną.

Złodzieje grodzieńscy, którzy tworzą dobrze zorganizowaną i liczną korporacyę rzucili się do rabunku. Na pomoc im przybyła z Białostoku (nb. wcześniej niż straż) banda tamtejszych rabusiów. Łotry działali energicznie i porządnie, sprowadzili sobie podwody i ładowali je łupem; dla pogorzelców, rozumie się, podwód brakło. Policmajster z dwudziestoma strażnikami poparzonymi lub rannymi nie mógł dać sobie rady, nie pomógł także kordon wojskowy, bo pożar szerzył się coraz dalej, a ocalone sprzęty trzeba było przenosić— wtedy właśnie rabowano najwięcej.

Charakterystyczną scenę opisuje korespondent jednego z dzienników rosyjskich. Zakonnice bernardynki nie chciały opuszczać klasztoru. Nierozsądne staruszki wołały: „za nic w świecie nie wyjdziemy.“ Nie podobna było przełamać tłomaczeniem tego uporu, wyprowadzono więc je gwałtem. Jedna wszakże uciekła i schowała się. Znaleziono ją później, ale na wpół spaloną; i nazajutrz umarła.

Tysiące pogorzelców nocowało pod otwartem niebem, złodzieje kręcili się tam bezkarnie i wyciągali drzemiącym nawet poduszki z pod głowy.

Ażeby uwydatnić rozmiary klęski, dodamy, że wartość spalonych nieruchomości wynosi, co najmniej, 5,000,000 rs., tymczasem w całem Grodnie jest tylko domów ubezpieczonych na 400,000 rs. Z tej liczby trzecia część ocalała. Ruchomości i towary prawie zupełnie asekurowane nie były.

Ofiarność prywatna w najlepszym razie pokryje jedynie maleńką cząstkę strat, ale gdyby nawet w porównaniu z ogromem klęski była ona kroplą tylko, spieszmy oświeżyć nią spieczone usta pogorzelców.

A nieszczęśliwych takich, potrzebujących wsparcia przybywa coraz więcej. Jednocześnie prawie z Grodnem spalił się Zwoleń, mieścina mała, która zdołała wszakże dostarczyć 700 z górą ofiar pożaru.

Kiedy Żnicz słowiański zalewa swą ofiarę całą falą ognistych języków, zniemczona Łódź pali się systematycznie, po kawałku. Pożary zdarzają się tam często, codziennie niemal, ale nie przybierają większych rozmiarów. Jeden z nich może nawet wywrzeć wpływ, brzemienny donioślymi dla cywilizacyi skutkami. Spłonęła mianowicie drukarnia gazety niemieckiej i teraz *Lodzer Zeitung* korzystając z drukarni *Dziennika łódzkiego*, zmuszoną jest używać czcionek łacińskich, w nadziei, że Bismark, zajęty kuracyą w Kissingen tej zmiany nie dostrzeże i surowo nie skarci.

Drugi znaczny pożar w Łodzi powstał z podpalenia. Właściciel domu ubezpieczonego wysoko, przygotował odpowiedni zapas nafty i słomy, podłożył ogień i niby to wyjechał z miasta. Dom spłonął, ale władza zdołała skonstatować cechy zbrodniczego czynu, w którym przyjmowała udział cała rodzina pomysłowego obywatela. Zresztą, fakt to u nas zwyczajny.

Chcąc przejść od pożarów do żydów należałoby wywrócić logicznego koziołka; ale w naszej socyologii szlacheckiej bez żyda obejść się niepodobna, łata się nim wszystkie dziury, wypełnia wszystkie wpadliny, zapycha wszystkie kąty. Niema więc wątpliwości, że liczne pożogi miast i miasteczek mają związek ze sprawą żydowską. Nie mówię już o tem, że żydzi najczęściej bywają podpalaczami dla zysku, przewiduję tylko, że pozbawieni dachu w mieście przeniosą się nieraz pod wiejską strzechę. Osiadanie żydów po wsiach wzbudzać zaczyna coraz większe obawy. *Wiek* wystąpił w tej sprawie z oddzielnym artykułem p. t. *Nowe współzawodnictwo.* Autora przeraża udział żydów w przemyśle wiejskim, przybierający coraz szersze rozmiary—czego jednak chce, trudno zrozumieć. Niema kwestyi, że opanowanie przez handlarzy żydów przemysłu drobnego rujnuje wytwórców, ale na jakiej zasadzie uważa autor za szkodliwe np. garbarnie w Białogonie, w których

pracują robotnicy—żydzi? Dla czego strasznem jest, że izraelici wyrabiają kaszę w ostrołęckiem, gwoździe w łomżyńskiem, garnki w augustowskiem? Przecież to już praca produkcyjna! Przemysł drobny należy wyzwolić z wyzysku spekulantów, ale do tego prowadzi działalność innego rodzaju, aniżeli owa barbarzyńska polityka, wyrażająca się tylko w dwóch imperativach: nie puszczać i wypędzać. Podniesienie techniki rękodzielniczej, ułatwienie zbytu a nadewszystko kredyt tani podźwigną przemysł wiejski i uwolnią go od wyzysku pijawek chrzczonych lub obrzezanych. Ale co w danym wypadku robi współzawodnictwo żydowskie, i co ci żydzi robić powinni? W miastach siedzą i spekulują—źle, na wieś przenoszą się i pracują—gorzej jeszcze. Autor wspaniałomyślnie zostawia im chyba dzierżawę propinacyj (bo to dla szlachty wygodnie). Jeżeli żydzi nie powinni być ani rolnikami, ani kupcami, ani rzemieślnikami, to należy ich wprost wypędzić, a gdy iść nie zechcą—wytępić, lub w skuteczny sposób zmusić do emigracyi. Byłoby to i bardziej rozumne i, powiem nawet, bardziej ludzkie. Chłop małoruski a często i polski stawi kwestyę w ten właśnie sposób: albo wynoś się, albo będę cię bił. Z wielu względów można się godzić lub nie, na takie rozwiązanie sprawy, ale trzeba przyznać, że jest przynajmniej prostem i jasnem. Taki otwarty antysemityzm pojmuję, w istocie swej nie różni się on wiele od żydofilstwa, które również uważa cechy wyróżniające żydów za szkodliwe. Oba kierunki dążą do zagłady właściwego żydowstwa, tylko jeden wyrzuca je siłą pięści, drugi przerabia siłą cywilizacyi. Ale nie rozumiem antysemityzmu, który szczuje a potem chowa się za płot lojalizmu, który mąci wodę dla tego jedynie, żeby na swoją chrześciańską wędkę złapać jak najgrubsze ryby. Wolno każdemu nienawidzieć żydów—byle tylko nie do utraty zmysłów. „Każdy człowiek, jak powiada Börne, ma prawo być głupim ale nikomu nie wolno nadużywać tego prawa“ a właśnie *Wiek* przekracza dozwolony zakres. Dziwna rzecz, że rozsądne w innych wypadkach pismo, ilekroć wspomni o żydach, ujawnia straszną zaciekłość, która nie przystoi „organowi szlacheckiemu,“ bo właściwą jest tylko nowochrzeńcom.

Pożary i żydzi mają jeszcze to wspólnego, że pierwsze zdarzają się a drugich biją najczęściej w lecie. W miasteczku Chabne żyd wypchnął ze sklepu babę, która w parę godzin z tego czy z innego powodu umarła. Wystarczyło to do podburzenia ludności przeciw żydom wogóle, połamano więc im żebra i zrabowano sklepy. Ani wojska, ani policyi w miasteczku niema, rozruchy jednak ustały same przez się, „do drugiego razu“ jak obiecują chłopi. Rządca majątku (Chabne stanowi własność prywatną), z obawy powtórzenia bójki, zawezwał pomocy władz.

Taką samą przezorność okazał burmistrz Szczebrzeszyna, który, jak pisze *Gazeta lubelska*, „przewidując zwiększenie się liczby pożarów“ zaprowadza nowe narzędzia ratunkowe.

Zaprawdę, godny stoików jest ten spokój, z jakim ludzie przewidują zbrodnie i klęski w przyszłości, przewidują obojętnie, chłodno, jak rzeczy zwyczajne, naturalne.

Na zakończenie ciekawy obraz logiki „rodzimej.“

„Wobec zatwierdzonej już „normalnej ustawy dla stowarzyszeń rolniczych gubernialnych,“ pisze *Gazeta rolnicza* nie będzie, sądzimy, bez interesu podanie szkicu projektu, opracowanego przez jednego z najpoważniejszych ziemian, któryby (ziemianin czy projekt) naszym warunkom najwięcej mógł odpowiadać.“

Zapewne są amatorzy, którym musztarda po obiedzie smakuje, ale rzeczywiście projekt nie jest „bez interesu“ chociaż nieco innego niż sądzi *Gazeta*. Okazuje się zeń, iż poważny ziemianin jest bardziej lojalnym, aniżeli rząd, normalna bowiem ustawa jest daleko liberalniejszą. Dokument podany przez *Gazetę* jaskrawo maluje naszą tchórzliwość, która nawet wtedy szczypie trawkę dwoma palcami, kiedy może ująć ją całą garścią.

J. Nieborski.

Piotrków. Podczas zwykłej rewizyi więzienia, skazany do robót ciężkich aresztant, rzucił się na towarzysza prokuratora i zranił go niebezpiecznie w twarz i głowę.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 25 czerwca.

Nowy gabinet angielski właściwie jeszcze nie objął rządów. Zachowawcy znajdują się w trudnem położeniu, zwycięstwo ich było przypadkowem, większości potrzebnej w Izbie gmin nie posiadają i wątpić można, czy uzyskają ją na przyszłych wyborach. Salisbury'emu udało się załagodzić spory w łonie własnego stronnictwa i ułożyć listę ministrów, idzie teraz o to, żeby gabinet utrzymał się przynajmniej do wyborów, które już odbędą się na zasadzie nowego prawa. Obejmując spadek zaszargany, w okolicznościach ważnych i trudnych, mają zachowawcy prawo żądać od liberałów jeżeli nie poparcia, to przynajmniej względnego zachowania się. Inaczej jednak sądzi Gladstone. Skorzystał on ze sposobności i zrzucił z siebie ciężar odpowiedzialności, ale od następców swoich wymaga, żeby prowadzili dalej jego politykę i tylko pod tym warunkiem obiecuje im nie przeszkadzać. Rozumie się, że tego wyroku samójstwa, podyktowanego przez dziwaczny upór przeciwnika, torysowie podpisać nie mogą. O tę trudność rozbija się dotąd sprawa objęcia rządów przez nowy gabinet, ponieważ jednak Gladstone nie chce wrócić do władzy, będzie musiał na tym punkcie ustąpić.

Na liście gabinetu zachowawczego nie figurują wybitne osobistości; dotychczasowy przywódca torysów w Izbie gmin Northcote. następca jego Hicks-Beach i inni — wszystko to ludzie nie przechodzący średniej miary. Wyróżniają się tylko młody lord Churchill minister do spraw Indyi, torys radykalny, zuchwały i utalentowany warchoł oraz sam Salisbury.

Ten ostatni zasłużył sobie na nazwę Don-Kiszota konserwatyzmu. Należy on do t. z. torysów nieprzejednanych, jest zwolennikiem wzmocnienia władzy królewskiej i zapalonym nieprzyjacielem demokracyi. W przekonaniach swoich jest upartym i na żaden kompromis nigdy się nie zgodzi.

Poprzednio już dwa razy przyjmował udział w rządzie jako minister gabinetów Beaconsfielda, ale nie wahał się występować w Izbie przeciw własnym kolegom, jeżeli na ich wnioski nie zgadzał się. W polityce zewnętrznej występował jako zwolennik mieszania się czynnego Anglii do spraw europejskich, w ostatnich zaś czasach jako zdecydowany nieprzyjaciel Rosyi. Obok wielu wad posiada jeden przymiot, którego brakowało Gladstone'owi — stanowczość, której niejednokrotnie złożył dowody, ostatni przed paru dniami zaledwie. Otrzymawszy wiadomość, że poseł rosyjski zażądać ma wyjaśnień co do poprzednich, nieprzyjaznych mów jego i Churchilla, Salisbury oświadczył głośno, iż ministrowie angielscy odpowiedzialni są tylko przed własnym narodem i jemu jedynie zdają sprawę z swych czynności.

Upadek gabinetu Gladstone'a wywołał pośrednio przesilenie ministeryalne we Włoszech. Polityka kolonialna Manciniego, oparta na porozumieniu się z Anglią nie doprowadziła do żadnych poważnych rezultatów, zmarnowano tylko w Afryce wiele pieniędzy i ludzi. Tego nie mogli przebaczyć ministrowi ambitni włosi, którzy marzyli już o zagarnięciu Abisynii i Sudanu. Przy głosowaniu nad budżetem spraw zagranicznych ministeryum poniosło porażkę i podało się do dymisyi. Ponieważ jednak poprzednio Izba udzieliła Depretisowi votum zaufania, król polecił mu utworzyć nowy gabinet, do którego wszakże Mancini i kilku innych ministrów nie wejdą.

Wielkie bezrobocie w Bernie zakończyło się względnem zwycięstwem robotników. Jakkolwiek bowiem wojsko przywróciło porządek i aresztowało wielu najenergiczniejszych działaczy, fabrykanci w znacznej mierze uwzględnili żądania robotników i zmniejszyli liczbę godzin pracy. Obecnie wybuchło bezrobocie cieśli i mularzy w Berlinie, które przybrało szerokie rozmiary, tam jednak przedsiębiorcy o ustępstwach nawet słyszeć nie chcą.

Podobny charakter nosiły również zaburzenia w New-Yorku, stanach Ohio i Pensylwanii, w których przyjmowało udział około 100,000 robotników; zakończyły się one polubownie. Rozruchy w Madrycie różnią się od poprzednich, przyczyną ich jest cholera, która ciągle wzmaga się w Hiszpanii. Ludność Madrytu obwinia władze policyjne o niedbalstwo i nieumiejętność zapobieżenia klęsce—stąd powstanie improwizowane, które wojsko stłumiło prędko.

Ciekawa wiadomość przychodzi z Rzymu. Kardynał Pitra, przywódca stronnictwa jezuickiego, został skazany przez papieża na wygnanie, ciągle bowiem intrygował przeciw umiarkowanej polityce Watykanu.

CHOLERA W HISZPANII.

Wróżba najznakomitszego terapeuty naszego i badacza epidemii sprawdziła się—cholera przezimowała w Europie i obecnie grasuje w Hiszpanii. Specyalni sprawozdawcy niemieccy piszą o niej:

Jak w roku zeszłym, podobnie i w obecnym usiłowano pierwsze wypadki cholery w Walencyi zataić lub osłonić jej charakter innemi nazwami. Były to wszakże trudy, jak zwykle daremne, i rząd hiszpański ujrzał się już zmuszonym do przyznania faktu, że panuje *cholera asiatica*. Naturalnie od ostatniej epidemii w Hiszpanii nie zrobiono nic dla odparcia nowej. Pewien korespondent angielski, ze sprawą dobrze obeznany, przedstawia stosunki zdrowotne Walencyi jako możliwie najgorsze. Brudy i odpadki roślinne i zwierzęce, wszędzie zła woda, publiczne łożyska rzek używane do prania nietylko bielizny, ale i odzieży mieszkańców—oto obraz hygieny hiszpańskiej. Że zanieczyszczona woda rzeczna poniesie ze swym biegiem zarazę do miejscowości niżej położonych—było to do przewidzenia, co też i sprawdzono. Tenże korespondent donosi z Burjasot, że tam nie przedsięwzięto żadnych środków zapobiegawczych, a nawet nie odosobniono chorych. Wszędzie ludność wchodziła i wychodziła od nich, a swoboda była tak nieograniczoną, że w pewnym sklepie mięsnym wynoszono kupującym kotlety z tego samego pokoju, w którym żona właściciela leżała słaba na cholerę. Obaj lekarze miejscowi, paląc cygara, stali w odpowiedniej odległości od łóżka, i nie wydawali żadnych rozporządzeń, „których by zresztą nie spełniono.“ Po przeszłorocznych wszakże do-

świadczeniach w Hiszpanii, Włoszech i Francyi południowej tego rodzaju stosunki nie dziwią nikogo; osobne zaś miejsce w dziejach epidemii należy się Walencyi dla tego, że była ona i jest polem zapobiegawczych szczepień dr. Ferrana. Jak wiadomo, wielu osobom zaszczepił on jad choleryczny i rzekomo ubezpieczył je przeciwko zarazie. Za granicą wszakże przyjęto te cuda z niedowierzaniem. Tak np. Virchow na ostatniej konferencyi w Berlinie wygłosił, że owe jakoby nowo odkryte przez Ferrana twory zarazkowe są formami rozkładu bacylusa przecinkowego Kocha, nie zdolnemi do dalszego rozwoju i bezpłodnemi. Tym sposobem wskazany został błąd Ferrana, a jego bakteorologiczne poszukiwania dla epidemiologii bacylusa przecinkowego nie mają żadnej wartości. Zarówno krytyczny, jak biegły w tym przedmiocie madrycki korespondent *Brit. Medic. Journal* także wyraża się nieprzychylnie o Ferranie, którego doświadczenia, zresztą, rząd hiszpański powstrzymał do czasu, dopóki za nimi nie oświadczą się powagi lekarskie wszystkich krajów.

Ostatnie telegramy przedstawiają położenie rzeczy coraz groźniej. Mówią one wprawdzie o jakichś rozporządzeniach rządu, ale wiadomo, również, że telegramy o cholerze poddawane są cenzurze, a liczne wypadki zupełnie tajone. To też z miast większych Hiszpanii rozpoczęła się emigracya, bądź do prowincyi jeszcze niezarażonych, bądź też za granicę. Francya służy ostatnim za pierwszy przytułek—z czego naturalnie wcale nie jest zadowoloną.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Minuta tak oświadcza się przeciwko gościom i braciom galicyjskim.

„Najpierw nie wiemy jeszcze, azali dwóch popów, dwóch redaktorów i jeden „włościanin,“ którzy jedli „wszechsłowiański“ obiad u p. Komarowa, stanowią deputacyę narodową i są przedstawicielami opinii publicznej; a powtóre skądże znów tak odrazu przychodzimy do tego, żeby cyrylica zniewalała nas do rzucenia się w objęcia wszelkich słowiańskich „bratuszków?“ Jeżeli odrzucimy na bok sztuczny patos i sztuczność stosunków, to należy zapytać, skądże to rusini, bulgarowie, serby i słowacy mogą dla nas być bliżsi od polaków?

Pozostawmy religię na boku, bo na pewnej wysokości wykształcenia człowiek wogóle szanuje jej swobodę. Pozostaje polityka. Otóż gdzie i jaki dowód na to, że zachodni słowianie mają być dla nas milsi aniżeli polacy? Dla czego, otwierając ramiona pierwszym, mamy odwracać się od drugich? Polacy nas nie lubią, ale są przyczyny po temu; swoją drogą zaś miłość pozostałych słowian wymaga jeszcze dowodów. Polacy, wedle zastarzałych już pojęć, mają być naszymi wrogami; ale czyż nie lepiej mieć do czynienia z dumnym wrogiem, aniżeli z uniżonym pochlebcą?

Rosya stała się dziś tak silną, że żaden separatyzm nie jest dla niej niebezpiecznym; stanęła ona na takim stopniu rozwoju umysłowego, że daleko właściwszem i przyzwoitszem jest dla niej solidaryzowanie się plemienne z narodem wykształconym, aniżeli z hołdownikami cyrylicy, bulgarskimi i innymi, których trzeba najpierw dyscyplinować. Polityczną misyą Rosyi jest podbijać saryków i afgańczyków; słowiańską—rozciągać opiekę nad mniejszą bracią słowiańską; ale jest jeszcze posłannictwo duchowe, i to wymaga przestawania z narodami równymi jej pod względem umysłowym. Takimi są właśnie polacy, których czas i okoliczności coraz bliżej i wyraźniej prowadzą na drogę pojednania się z nami.

Polak, czy to w swoim bycie społecznym, czy gospodarczym, lub w życiu prywatnem zawsze więcej budzi sympatyi, aniżeli brat słowianin łaknący datku. Od polaka można się wielu rzeczy nauczyć; można z nim mieć interesy, można odsłonić przed nim wyższe dążności swego ducha, bo je rozumie, a z galicyjskimi popami i redaktorami gadaj tylko o cyrylicy albo o *Nowym Prołomie*. Polak ma przed sobą przyszłość naukową, literacką i artystyczną, a *Nowy Prołom* nic nie widzi przed sobą oprócz cyrylicy. Powinniśmy też szczerze obrócić się z przyjaźnie otwartemi ramionami ku polakom, a wtedy zobaczymy co wypadnie z takiego zbliżenia... A przymierze z *Nowym Prołomem* niczego nam nie da prócz dąsów i nieprzyjemności.“

Petersburska *Gazeta sądowa* pisze:

„Mieszkaniec m. Warszawy, Hersz Berliner, podał skargę apelacyjną na wyrok w sprawie karnej sądu okręgowego warszawskiego. Izba sądowa warszawska postanowiła zwrócić Berlinerowi skargę na tej zasadzie, iż podpis Berlinera na skardze był położony po polsku, bez przetłómaczenia na język rosyjski. Skargę Berlinera na to postanowienie izby sądowej senat rządzący pozostawił bez skutku z następujących pobudek: że wielokrotnymi wyrokami senatu zostało uznanem, iż art. 241 ustawy postępowania sądowego cywilnego stosuje się i do spraw karnych; a ponieważ w duchu tego artykułu podpis w języku cudzoziemskim powinien być przetłómaczony na język rosyjski, tego zaś Berliner nie uczynił, przeto izba sądowa, wedle zdania senatu, prawnie postanowiła zwrócenie skargi.“

Dziennik rosyjski robi uwagę, że artykuł 241 niewłaściwie w danym wypadku został zastosowany, mówi on bowiem o podaniach wnoszonych przez *cudzoziemców*, do których przecie mieszkańców Warszawy zaliczyć niepodobna.

Korespondent warszawski *Nowego Wremieni* donosi, że niemcy łódzcy mają zamiar wydawać dziennik w języku rosyjskim:

„Widząc, że w Rosyi niezbyt życzliwie zapatrują się na ich konkurencyę fabrykom rosyjskim, i że organa rosyjskie prasy coraz bardziej wyświetlają istotne znaczenie niemieckiej inwazyi w nasze życie ekonomiczne, niemcy ci powzięli zamiar wydawania gazety w celu bronienia swoich interesów przed naszą czytającą publicznością. Sprawa posunęła się już tak daleko, że wynaleziono literata rosyjskiego, który podjął się wydawania tej służącej niemieckim interesom gazety, rozumie się nie darmo, lecz za przyzwoite wynagrodzenie.“

KORESPONDENCYE „PRAWDY.“

Winnica, 5 czerwca.

„Przedstawiciele arystokracyi — powiada w swych listach hr. Marya Raczyńska — są dwojacy: jedni bezmyślni, nawet cyniczni, sami sobie dekret śmierci podpiszą; drudzy albo się z letargu ocknąć, albo też zginąć muszą...“

Wielce byłoby pożądanem, aby procent śmiertelności był mniejszy, gdyż wszelka ruina pozostawia po sobie gruzy, które z trudnością i szkodą wypada uczuwać. To też każdy objaw powrotu do życia nowego jakiejbądź jednostki, którą zaliczaliśmy już do archeologicznych okazów smutnej przeszłości, społeczeństwo wita z radością, jak ewangieliczny ojciec swego marnotrawnego syna. O jednym z takich objawów, aby służył innym za przykład, podaję tu krótką wzmiankę. Dnia 15 listopada 1880 r. z inicyatywy p. K. Padlewskiego i za współudziałem miejscowych utytułowanych i nieutytułowanych herbów otwarte zostało w Winnicy Towarzystwo wkładowo-zaliczkowe (Ssudo-sbieregatielnoje towariszczestwo) dla miejscowego i okolicznego na 25 wiorst w promieniu siermiężnego ludu. Mam pod ręką niedawno ogłoszone sprawozdanie z czwartego roku istnienia tej instytucyi. Wymowne są tam cyfry, więc ograniczam się na podaniu główniejszych.

Wszystkich członków w przeszłym roku było już 2409, którzy dają się podzielić na następne grupy:

Duchownych	13 osób
Posiadaczy ziemskich właścicieli i dzierżawców	91 „
Właścicieli domów w Winnicy .	77 „
Mieszczan rolników i rzemieślników	655 „
Włościan.	1485 „
Rzemieślników i służących nieosiadłych	13 „
Osób innych kateg. i urzędników	57 „
razem	2049 osób.

Z tej liczby z wykształceniem średniem i wyższem było . . .	198 osób
tylko piśmiennych	171 „
i nie umiejących pisać . . .	2040 „

Jak widzimy, Towarzystwo głównie składa się z włościan i mieszczan rolników. Zadaniem jego dać drobny kredyt i możność zachowania oszczędności. W roku ubiegłym udzielono członkom 3,039 pożyczek w sumie 341,514 rs.; przeciętna więc wynosiła trochę więcej niż 100 rs.; stopa procentowa—10%—12%; składany kapitał 54,028 rs. 77 kop. W tej liczbie pełne storublowe udziały miało tylko 153 członków—15,300 rs.; reszta zaś miała średnio po 20 rs. Są to oszczędności składane po 50 kop. miesięcznie obowiązkowo. Jako kapitał obrotowy było tych pieniędzy za mało, posiłkowano się więc depozytami od osób prywatnych. Depozytów było 196 na sumę 23,435 rs., za które płacono 6% rocznie. Oprócz tego Towarzystwo wyczerpało cały swój kredyt w Banku Państwa (25,000 rs.). Zapotrzebowanie jednak pożyczek przenosiło znacznie wszystkie te zasoby. Aby je zaspokoić, „właściciele ziemscy—mówi sprawozdanie—wspierający instytucyę“ pożyczyli towarzystwu 157,000 rs. na 6% i 4% nawet rocznie. Zapomoga ta stanowiła w przeszłym roku więcej niż 60% całego obrotowego kapitału. Rzetelność włościan zaciągających pożyczki w towarzystwie jest godną uwagi. Z dawnych lat pozostało przetrzymanego długu, podlegającego egzekwowaniu sądowemu 112 rs. 87 kop. Na bieżący rok pozostało takiego długu na sześćdziesięciu kilku włościanach i mieszczanach 2,410 rs. 40 kop., co stanowi zaledwie 0,7% ogólnej sumy pożyczek, wydanych w roku minionym. Oprócz tego niezapłaconym został w terminie dług 554 rs. zaciągnięty przez obywatela ziemskiego Iwana Timoszenka, który skorzystał z praw członka i udał się do kredytu, stworzonego dla włościan. Zarząd zapewnia, że żadna z tych zaległości nie może być uważaną za stratę, gdyż w części zostanie dobrowolnie uiszczoną, a w części wyegzekwowaną. Towarzystwo ma obecnie 4,733 rs. 90 kop. zapasowego kapitału i otrzymało za przeszły rok czystego zysku 3562 rs. 47 kop., z których wydano członkom po 6% na udziały, a resztę na wynagrodzenie zarządu i urzędników. Zarząd składa się z dyrektora p. K. Padlewskiego, który jest duszą tej instytucyi (840 rs. rocznej pensyi) i dwóch pomocników pp. A. Makowskiego i H. Smereczyńskiego (po 420 rs.) Oprócz zarządu Towarzystwo posiada radę nadzorczą, złożoną z 12 członków, dających swą pracę bezpłatnie. W przeszłym roku odbyło 24 pełnych posiedzeń dla rewizyi i nadania kierunku interesom Towarzystwa. Prezesem jest 1) hrabia S. Grocholski, a członkami obywatele ziemscy: 2) hr. T. Grocholski, 3) A. Russanowski, 4) K. Russanowski, 5) A. Russanowski, 6) C. Skowroński, 7) M. Menciński; właściciele domów: 8) A. Korzeniowski, 9) P. Skiba, 10) J. Zasiedatel, 11) S. Wołkowiński i 12) głowa miasta dr. A. Szczawiński.

Nie mając prawa wychodzić z ram, jakie mi tytuł korespondenta prowincyonalnego wyznacza, muszę opuścić wiele, a wiele jeszcze ciekawych danych. Z tego już, co się rzekło, możemy zaznaczyć, że dzięki dobrej woli kilku szlachetnych ludzi, a przeważnie ziemian zamożnych w przeszłym roku 3,000 razy otarło się nie jedną może łzę lub ocaliło biednego wyrobnika od ruiny, dając mu tani i uczciwy kredyt. Z tej liczby pożyczek 60% a więc około 1,800 zaspo-

kojono jedynie dzięki wspaniałomyślnej uczynności tychże ziemian. Mówię wspaniałomyślnej, bo dziś nikt włościaninowi nie pożyczy tak znacznej sumy na 4%—6% rocznie. Cztery lata sumiennej pracy i pieczołowitych zabiegów około dobra publicznego, może otworzy oczy polskiemu ziemiaństwu i posłuży za dowód, że ich ustawiczne zasłanianie się trudnem położeniem jest nieraz czczą osłoną lenistwa i sobkowstwa. Kto chce pomagać młodszej braci, podać jej rękę i uczciwie pracować, ten zawsze znajdzie i możność i środki, jak to robią wspomniani obywatele.

C. N.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowa ustawa uniwersytecka zawiera między innymi takie przepisy: czynności studentów noszące charakter zbiorowy są zabronione, nie wolno im urządzać czytelni, jadalni, zwoływać zebrań, litografować lekcyj itp. Stosunek uwolnionych od opłaty nie może przewyższać 15%. Stypendya rządowe udzielają się tylko chrześcianom.

Reforma. *Nowosti* zapewniają, iż od Nowego Roku zarządy pocztowe wezmą na siebie przyjmowanie prenumeraty i ekspedycyę czasopism. Dla obeznania się z tą manipulacyą, departament poczt i telegrafów wysłał już kilku urzędników zagranicę.

Kurs fizyologii głosu wykładany prywatnie przez prof. Nawrockiego dla studentów-filologów, zamieniony został na przedmiot obowiązkowy.

Etat szkół elementarnych, których istnieje w Warszawie zaledwie 24 ma być zwiększony.

Co to znaczy? *Kuryer warszawski* pisze: „Ministeryum udzieliło decyzyę na budowę odnogi od Kowla do Nikołajewa. Tym sposobem kolej libawo-romeńska połączy Bałtyk z morzem Czarnem.“ Ciekawa rzecz jakim sposobem, bo odległość Kowla od najbliższych punktów drogi libawo-romeńskiej w prostej linii wynosi kilkaset wiorst.

Pożyczka miejska. Druga 5% pożyczka w sumie 1,500,000 rs. na koszta kanalizacyi została zatwierdzona przez władzę. Subskrypcya odbędzie się w październiku po 90 za 100 rs.

Przemysł. W pobliżu stacyi kolei warszawsko-wiedeńskiej Łazy, powstała nowa fabryka cementu.

— Fabrykę aksamitu zakłada w Warszawie jeden z najbogatszych kupców... rosyjskich.

Wyrok. Dwaj uczniowie seminaryum nauczycielskiego w Wilnie Apienczenko i Mamowicz, którzy zelżyli czynnie dyrektora zakładu, z rozkazu Najjaśniejszego Pana oddani zostali do dyscyplinarnych batalionów „dla poprawy“ na lat dwa.

Katedra języków i literatur słowiańskich ma być założona w Londynie, kandydatem na profesora jest p. Hugo Schuchardt.

Mózg Wiktora Hugo nie mógł być naukowo zbadanym, ponieważ rodzina odmówiła zezwolenia, co wywołało wielkie oburzenie pomiędzy uczonymi francuzkimi.

Wiktor Tissot pisze nowe dzieło o... Chinach. *Kuryer warszawski* drwi sobie z podróżnika-blagiera, którego przed paru laty gorąco wychwalał.

Duruy znany historyk, został członkiem Akademii francuskiej na miejsce Migneta, obecnie wakuje jeszcze trzy krzesła.

Budowa kolei zakaspijskiej została przyspieszoną. Rząd wzywa kandydatów do służby na drogach żelaznych w Azyi środkowej, zapewniając im pewne przywileje.

Statystyka. W instytucyach dla głuchoniemych w Europie i Ameryce znajduje się około 300,000 osób, wszystkich zaś dotkniętych tem kalectwem liczyć można około 800,000.

Curiosum. W pismach galicyjskich znajdujemy tanie ogłoszenie: Od 24 czerwca potrzebuję miejsca jako bona; jestem zdrowa i silna, mam 27 lat, pochodzę z uczciwej rodziny włościańskiej z okolic Wrocławia na Szląsku. Przez dwa lata byłam kelnerką u p. Lucasa w Neiss. Następnie służyłam u p. Purzingera we Wrocławiu jako pokojówka do wszystkiego. Stąd za pośrednictwem biura wywiadowczego sprowadzono mnie do Krakowa, gdzie od 6 lat jestem zajętą jako bona w najznakomitszych domach szlacheckich. Obowiązuję się każde powierzone mi dziecko polskie mające 3—4 lat, tak wychować, iż już w dwa lata *zapomni zupełnie po polsku*, nawet sylab; za to zaś nietylko rozmówi się z każdym niemcem jak najlepiej, ale zaśpiewa niemieckie piosenki i wygłosi najpiękniejsze bajeczki akcentem prawdziwie pruskim. Zresztą jestem nieposzlakowanie obyczajna i *twarda katoliczka*.

Saul obrońca Kraszewskiego za różne nadużycia pozbawiony został prawa zajmowania się adwokaturą.

Wyznawca swobodnej woli. Pewien pastor z Meklemburga napisał traktat, w którym dowodzi, że żaden chrześcianin nie powinien jeździć koleją, ponieważ ten rodzaj podróży pozbawia go czasowo wolnej woli. Towarzystwo północnych dróg żelaznych zapozwało do sądu biednego teologa, jako działającego rozmyślnie na szkodę przedsiębiorstwa kolejowego.

Patryotyzm czeski. Dwustu czechów, osiadłych w Ameryce przybyło umyślnie do Pragi, ażeby zobaczyć teatr narodowy. Prażanie powitali gości serdecznie i na cześć ich urządzili owacye.

Zmarli. Paweł Ratajewicz, najstarszy z kierowników teatrów prowincyonalnych.

— Wilhem Campenhausen, znany malarz—batalista niemiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czytelnik z Charkowa zechce nas objaśnić, czy tam w roku bieżącym zostanie otwarty Instytut technologiczny i czy będą do niego przyjmowani kandydaci, którzy ukończyli 6 klas gimnazyum?

T. Wiśl. Książki Promyka i Jeskiego.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Іюня 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.